

Matpa i Duch



**ALDOUS
HUXLEY**

Aldous Huxley

MAŁPA I DUCH

Przełożył
Iwo Gabriel Jackowski



PHANTOM PRESS INTERNATIONAL
Gdańsk 1991

Pominięto nudne i nic nie wnoszące **OD TŁUMACZA**

TALLIS

Był to dzień, kiedy został zamordowany Gandhi, lecz na Calvary wycieczkowicze bardziej interesowali się zawartością swoich koszyczków z jedzeniem niż znaczeniem, jakie mogło mieć owo bądź co bądź raczej banalne wydarzenie. Bez względu na to, co sądzą astronomowie, Ptolemeusz miał absolutną rację: centrum wszechświata znajduje się tu, a nie tam. Gandhi mógł być martwy, ale Bob Briggs siedząc przy swoim biurku w studio czy przy stole w czasie obiadu, zajęty był mówieniem wyłącznie o sobie.

— Zawsze byłeś dla mnie taką pomocą — zapewnił mnie Bob w chwili, gdy miał zacząć, nie bez widocznego zadowolenia, opowiadać o tym, jak się ostatnio ułożyły jego sprawy.

Lecz w gruncie rzeczy, jak o tym dobrze wiedziałem, a sam Bob wiedział o tym nawet lepiej ode mnie, ani nie oczekiwał, ani nie pragnął żadnej pomocy. Lubił znajdować się w tarapatach, co więcej — lubił mówić o swoim przykrym położeniu. Kłopoty i ich udramatyzowana wersja słowna pozwalały mu widzieć się w roli Poety jednoczącego w sobie wszystkich Romantyków — Beddoesa popełniającego samobójstwo, Byrona popełniającego cudzołóstwo, Keatsa umierającego przez Fanny Brawne, Harriet umierającej przez Shelleya. A tylko widząc w sobie wszystkich poetów romantycznych mógł na chwilę zapomnieć o dwóch najistotniejszych źródłach swego nieszczęścia — o tym, że nie posiadał talentu żadnego z nich i bardzo niewiele ich seksualnej potencji.

— Doszliśmy do takiego momentu — powiedział (tak tragicznie, iż wydało mi się, że lepiej by zrobił zostawszy aktorem niż autorem scenariuszy filmowych) — doszliśmy-

my do takiego punktu, Elaine i ja, że poczuliśmy się jak... jak Marcin Luter.

– Marcin Luter? – powtórzyłem z pewnym zdziwieniem.

– No wiesz – *ich kann nicht anders*. Myśmy właśnie nie mogli – ale to naprawdę nie mogli – uczynić nic innego, jak tylko pojechać razem do Acapulco.

„I Gandhi, pomyślałem, również nie mógł uczynić nic innego niż tylko stawiać bierny opór i iść do więzienia, i dać się w końcu zastrzelić”.

– Tak więc to było – ciągnął dalej. – Wsiedliśmy w samolot i poleciliśmy do Acapulco.

– Wreszcie.

– Co chcesz powiedzieć przez to *wreszcie*?

– Dobrze więc, myśleliście o tym już od dłuższego czasu, czyż tak nie było?

Bob wyglądał na rozdrażnionego, ale mnie przypomniały się wszystkie poprzednie okazje, kiedy rozwodził się nad tym zagadnieniem: czy powinien uczynić Elaine swą panią, czy nie? (To był ten jego cudownie staromodny sposób wysławiania owego dylematu). Czy powinien, czy nie powinien prosić Miriam o rozwód?

Rozwód z kobietą, która w rzeczywistym tego słowa znaczeniu była nadal tym, czym była zawsze – jego jedyną miłością; ale w innym, znów bardzo realnym sensie, Elaine była także jego jedyną miłością – i stałaby się nią jeszcze bardziej, gdyby się ostatecznie zdecydował „uczynić ją swoją panią”, a to było znów powodem, że nie mógł się zdecydować. Być albo nie być – ten monolog trwał już dobre dwa lata i gdyby to od Boba zależało, trwałby jeszcze przez dalszych dziesięć. Lubił, gdy jego udręki stawały się chroniczne i głównie słowne, nigdy zaś tak dalece cielesne, aby był zmuszony poddawać swą niepewną męskość innym jeszcze upokarzającym próbom. Mimo pozostawania pod urokiem jego elokwencji, barokowej fasady jego profilu i owych przedwcześnie posiwiałych włosów, Elaine zaczynała być coraz wyraźniej znużona tymi chronicznymi i tylko platonicznymi udrękami.

Bob został postawiony wobec ultimatum: trzeba było wybierać – albo Acapulco, albo po prostu zerwanie.

W takiej oto był sytuacji, zdany i skazany na cudzołóstwo w sposób równie nieodwołalny, jak nieodwołalnie skazanym na nieuciekanie się do gwałtu, na więzienie i na zamordowanie był Gandhi, ale z tą różnicą, iż jak możemy podejrzewać, udziałem Boba była silniejsza obawa i złe przeczucia. Złe przeczucia całkowicie usprawiedliwione tym, co się później stało. Bo jakkolwiek biedny Bob na razie nie powiedział jeszcze, co się wydarzyło w Acapulco, sam fakt, że jak się wyraził, Elaine „zachowywała się teraz dziwnie” i była widziana wielokrotnie w towarzystwie owego okropnego mołdawskiego barona, którego nazwisko na szczęście wyleciało mi z pamięci, fakt ten zdawał się wyjaśnić całą ową śmieszną, choć patetyczną historię. A tymczasem Miriam nie tylko, że nie zgodziła się na rozwód, ale skorzystała jeszcze z nieobecności Boba i posiadanego przez nią pełnomocnictwa do dysponowania folwarkiem, dwoma samochodami, czterema domami, placami w Palm Springs i wszystkie papiery wartościowe przepisała na swoje nazwisko. Tymczasem zaś on był winien rządowi trzydzieści trzy tysiące dolarów z tytułu zaległego podatku dochodowego. Kiedy zaś poprosił swego producenta o tych ekstra dwieście pięćdziesiąt dolarów tygodniowo, które były mu już jakby obiecane, zaległa tylko długa i brzemienna cisza.

– Co z tym słyhać, Lou?

Odmierzając słowa z uroczystym namaszczeniem, Lou Lublin udzielił mu odpowiedzi.

– Bob – rzekł – w tym studio i w obecnym czasie nawet sam Jezus Chrystus nie mógłby otrzymać podwyżki.

Ton wypowiedzi był przyjacielski, lecz kiedy Bob próbował nalegać, Lou uderzył ręką w biurko i powiedział, że jego zachowanie jest nieamerykańskie. To zakończyło sprawę.

Bob mówił dalej. A ja pomyślałem sobie: jakież byłby to wspaniałe temat do wielkiego malowidła religijnego! Chrystus stojący przed Lublinem, błagający o podwyżkę

zaledwie dwustu pięćdziesięciu dolarów tygodniowo i gładko odprawiony z kwitkiem. Byłby to jeden z ulubionych tematów Rembrandta, rysowany, sztychowany, malowany dziesiątki razy: Jezus pełen smutku, odwracający się ku mrokom nie zapłaconego podatku dochodowego, podczas gdy widoczny w strudze złotawego światła, błyskający klejnotami Lou w ogromnym turbanie nadal chichocze triumfująco z powodu tego, co uczynił Frasośliwemu.

Albo wersja Breughla na ten sam temat — panoramiczny widok całego studia w trakcie produkcji monumentalnego filmowego musicalu w cenie trzech milionów dolarów; każdy szczegół techniczny wiernie odtworzony: dwa do trzech tysięcy postaci, wszystkie ucharakteryzowane bez zarzutu, a w prawym dolnym rogu, widoczny dopiero po dłuższych poszukiwaniach i nie większy od konika polnego, Lublin, obrzucający aroganckim, pogardliwym spojrzeniem jeszcze mniejszego niż on Jezusa.

— Ale ja wpadłem na naprawdę rewelacyjny, na wskroś oryginalny pomysł scenariusza — mówił Bob z owym pełnym optymizmu entuzjazmem, który u ludzi zdesperowanych staje się alternatywą samobójstwa.

— Mój agent dostał bzika na tym punkcie — jest zdania, iż mógłbym to sprzedać za 50 lub 60 tysięcy.

Zaczął opowiadać swą historię.

Ciągle rozmyślając o Chrystusie stojącym przed Lublinem, wyobraziłem sobie scenę, jaką by namalował Piero della Francesca — kompozycję przejrzystą i wyraźną, o równowadze wyważonej ciał i próżni, kontrastów barw i ich harmonii; figury spoczywałyby w diamentowej ciszy. Lou i jego asystenci mieliby na sobie owe nakrycia głowy noszone przez faraonów — ogromne stożki rozszerzające się ku górze, z białego lub kolorowego filcu, które w świetle Piera służą podwójnemu celowi: podkreśleniu geometrii ludzkiego ciała oraz egzotyki ludzi Wschodu. Gdyż ta ich jedwabista miękkość, fałdzistość szat miałyby coś z nieodpartej siły i ostateczności sylogizmów wykutych w porfirze, i czulibyśmy poprzez tę całość wszechprzenikają-

ca obecność Boga Platona, przetwarzającego odwieczny chaos w porządek matematyki i piękno sztuki.

Lecz od Partenonu i *Timeusa* zdradliwa logika prowadzi do tyranii, która w *Politei* zostaje podniesiona do godności idealnej formy rządu. W dziedzinie polityki odpowiednikiem theoremu jest idealnie zdyscyplinowana armia, zaś sonetu czy obrazu — państwo policyjne o rządach dyktatorskich. Marksista nazywa siebie naukowym, a faszysta dorzuca do tego roszczenia jeszcze inne: jest on poetą — naukowym poetą — nowej mitologii. Obaj są usprawiedliwieni w swoich pretensjach, gdyż każdy z nich narzuca wobec ludzkich sytuacji metody postępowania, które okazały się skuteczne w laboratorium i w wieży z kości słoniowej. Upraszczają oni, abstrahują i eliminują wszystko to, co dla ich celów jest nieprzydatne i ignorują to, co postanowili uznać za nieistotne; narzucają styl, komplikują fakty dla potwierdzenia ulubionej hipotezy, kwalifikują do kosza ze śmieciami wszystko to, czemu według ich zdania brak cech doskonałości. A że przy tym działają jak zdolni artyści, głębocy myśliciele i doświadczeni eksperymentatorzy — więzienia są pełne, polityczni heretycy zapracowują się na śmierć niczym niewolnicy, prawa i przywileje jednostek są ignorowane, tacy jak Gandhi są mordowani, a od rana do nocy milion nauczycieli szkolnych i spikerów radiowych głosi nieomylność przywódców znajdujących się akurat u władzy.

— A poza tym — mówił Bob — nie ma powodu, dla którego film nie mógłby być dziełem sztuki. To ten przekłety komercjalizm...

Wypowiadał to z owym zrozumiałym oburzeniem niezdolnego artysty, przerzucającego na wybranego przez siebie kozła ofiarnego całą winę za żałosne skutki braku talentu.

— Jak myślisz, czy Gandhi interesował się sztuką? — zapytałem.

— Gandhi? Nie, z pewnością nie.

— Myślę, że masz rację — zgodziłem się. — Ani sztuką, ani nauką. I dlatego go zabiliśmy.

— My?

– Tak jest, my. My – inteligentni, przedsiębiorczy, przewidujący, wierzący w Porządek i Doskonałość, podczas gdy Gandhi był reakcjonistą wierzącym tylko w ludzi. W brudne, małe indywidua, rządzące się samodzielnie w każdej wiosce i czczące Brahmana, który jest również Atmanem. Tego nie można było tolerować. Nic dziwnego, że się go pozbyliśmy.

Ale nawet gdy to mówiłem, zdawałem sobie sprawę, że to nie była jeszcze cała historia. Pełna historia zawierała w sobie również i zjawisko niekonsekwencji, a nawet niemal zdrady. Ten człowiek, który wierzył tylko w ludzi, dał się wciągnąć w nieludzkie, zbiorowe szaleństwo nacjonalizmu i związał z instytucjami narodu-państwa, które winny być ponad ludzkie, ale na razie pozostają tylko diabolicznymi. Dał się wciągnąć w te sprawy, wyobrażając sobie, że będzie mógł uśmierzyć szaleństwo i temu, co było w państwie szatańskie, nadać kształt i charakter bardziej ludzki. Jednakże i nacjonalizm, i polityka władzy okazały się silniejsze od niego. Święty, który mógłby nas wyleczyć z owej zorganizowanej schizofrenii, nie mógłby działać ani od środka organizacji, ani nawet znajdować się w jej obrębie; musiałby istnieć poza nią, na peryferiach. Jeśli czyni z siebie część maszyn, w którą wcieliło się zbiorowe szaleństwo, musi się stać jedno z dwojga: albo pozostanie sobą, w którym to wypadku maszyna będzie z niego korzystać jak długo się da i odrzuci go lub zniszczy, z chwilą gdy stanie się bezużyteczny, albo zostanie przekształcony w coś na kształt mechanizmu, z którym i przeciwko któremu pracuje, a w tym wypadku będziemy świadkami Świętych Inkwizycji i przymierzy zawieranych z każdym tyranem skłonny zagwarantować kościelne przywileje.

– Wracając więc do tego ich obrzydliwego komercjalizmu – powiedział na koniec Bob – pozwól, że dam ci pewien przykład...

Ja zaś myślałem, że marzenia o Porządku rodzą tyranie, a marzenia o Pięknie – potwory i gwałty. Atena, patronka sztuki, jest jednocześnie boginią naukowego prowadzenia wojen, najwyższym zwierzchnikiem każdego

sztabu generalnego. Zabiliśmy Gandhiego, ponieważ po rozegraniu krótkiej (i fatalnej) gry politycznej odmówił dalszego udziału w naszych rojeniach o narodowym Porządku, o społecznym i ekonomicznym Pięknie; ponieważ usiłował sprowadzić nas na powrót do konkretnych i kosmicznych faktów — prawdziwych ludzi i wewnętrznego Światła. Nagłówki w gazetach, przeglądanych przeze mnie dziś rano, były jak przypowieści; wydarzenie, o którym donosiły — alegorią i prorocstwem. My, którzy tak dążyliśmy do pokoju, odrzuciliśmy w tym symbolicznym akcie jedyne możliwe środki prowadzące do pokoju i ostrzegliśmy jednocześnie tych wszystkich, którzy w przyszłości mogliby popierać działania inne niż te, które nieodwołalnie prowadzą do wojny.

— Cóż, jeśli skończyłeś swoją kawę — powiedział Bob — to chodźmy.

Weszliśmy i zaczęliśmy przechadzać się w słońcu. Bob ujął mnie za ramię i ścisnął je.

— Byłeś dla mnie wielką pomocą — zapewnił mnie znowu.

— Chciałbym w to wierzyć, Bob.

— Ależ to prawda, to jest prawda.

I może była to prawda w tym sensie, że wywnętrzenie się przed życzliwym odbiorcą sprawiało, iż czuł się lepiej, czuł się jeszcze bardziej podobny poetom romantycznym.

Szliśmy przez chwilę w milczeniu. Minęliśmy sale projekcyjne i weszliśmy między wille osiedla Churriqueresque, zamieszkanego przez członków kierownictwa wytwórni. Nad wejściem do największego bungalowu okazała mosiężna tablica nosiła napis: LOU LUBLIN PRODUCTIONS.

— No i co z tą podwyżką wynagrodzenia? — zapytałem. — Czy mamy wejść i przypuścić nowy atak w tej sprawie?

Bob zaśmiał się smętnie i znów nastąpiła cisza. Kiedy w końcu odezwał się, w jego głosie brzmiało zamyślenie.

— To bardzo żałosne, ta historia ze starym Gandhim — powiedział. — Myślę, że jego sekret polegał na tym, iż nie pragnął niczego dla siebie.

- Tak. Myślę, że to był jeden z jego sekretów.
- Prosiłbym Boga, żeby nie pożądać przedmiotów tak bardzo.
- O tak, ja też – skwapliwie mu przytaknałem.
- A kiedy wreszcie dostajesz to, czegoś chciał, to coś okazuje się zawsze czymś innym niż to, czego się spodziewałeś.

Bob westchnął i zamilkł. Niewątpliwie rozmyślał o Acapulco, o straszliwej konieczności przejścia od stanu stagnacji do aktywności, od stanu czysto werbalnego do aż nazbyt zdecydowanie i konkretnie cielesnego.

Wydostawszy się z ulicy urzędniczych bungalowów, minęliśmy parking i weszliśmy w kanion ciągnący się między halami zdjęciowymi. Minał nas ciągnik wlokący niską przyczepę, na której spoczywała dolna połowa zachodniej bramy trzynastowiecznej włoskiej katedry.

- To do *Katarzyny Sieneńskiej*.
- Cóż to jest?
- Nowy film Heddy Boddy. Pracowałem nad tym scenariuszem dwa lata temu. Potem dali go Streicherowi. A potem został przerobiony przez zespół O'Tooléa, Menendezza, Bogusławskiego. Nędzna szmira.

Koło nas zaturkotał inny ciągnik, załadowany górną połową bramy katedry i amboną Niccola Pisano.

- Jak się nad tym dobrze zastanowić – powiedziałem – ona pod pewnym względem przypomina Gandhiego.
- Kto? Hedda?
- Nie, Katarzyna.
- Aha, rozumiem. Myślałem, że mówiłeś o przepasce na biodra.

Bob potrząsnął przecząco głową.

- Nie, mówiłem o świętych w życiu politycznym – odpowiedziałem. – Oczywiście jej nie zlinczowano, ale to nie stało się tylko dlatego, że umarła zbyt młodo. Skutków jej polityki nie zdążono jeszcze odczuć. Czy jest o tym wszystkim mowa w waszym scenariuszu?:

- Nie, to byłoby zbyt przygnębiające – powiedział.
- Publiczność lubi, jak się bohaterom powodzi. Poza

tym jak można mówić o polityce kościoła? To byłoby z pewnością antykatolickie, a mogłoby łatwo stać się i antyamerykańskie. Nie, my gramy bezpiecznie: koncentrujemy uwagę na chłopcu, któremu ona dyktowała swoje listy. On jest szaleńczo zakochany, lecz to wszystko jest wysublimowane i uduchowione, a kiedy ona umiera, on idzie do pustelni i modli się przed jej obrazem. Jest tam również inny chłopiec, który faktycznie umizga się do niej. Mówią o tym listy. Wygrywamy tę historię, na ile się da. Oni nadal liczą na to, że uda się zaangażować Humphreya...

Drgnęliśmy obaj na odgłos donośnego trąbienia.

— Uważaj!

Bob schwycił mnie za ramię i odciągnął do tyłu. Z dziedzińca, przylegającego do oddziału składów, wyskoczyła na jezdnię dwutonowa ciężarówka.

— Czemu nie patrzycie, gdzie idziecie? — mijając nas wrzasnął kierowca.

— Idiota! — odkrzyknął mu Bob, po czym zwróciwszy się do mnie zapytał: — Czy widzisz, czym ona jest załadowana? Scenariuszami.

Pokiwał głową. — Wiozą je do pieca, na spalenie. Tam jest ich miejsce. I pomyśleć, że jest to literatura wartości milionów dolarów!

Zaśmiał się gorzko i nieco melodramatycznie.

Dwadzieścia jardów dalej samochód skręcił ostro w prawo. Widocznie jechał z nadmierną szybkością, bo z pół tuzina odrzuconych siłą odśrodkową skryptów spadło z góry na jezdnię. — „Niczym więźniowie Inkwizycji, którzy zdołali cudem umknąć przed stosem” — pomyślałem.

— Ten człowiek nie ma pojęcia o jeździe — mruczał Bob. — Pewnego dnia kogoś zabije.

— Cóż, tymczasem zobaczymy, kto ocalał.

Podniosłem najbliższy leżący scenariusz.

— *Panna jest równie dobra jak mężczyzna* — sztuka filmowa Albertiny Krebs. — Bob pamiętał ją, była stekiem bzdur.

— Hm... a co powiesz o *Amandzie*? — Przewróciłem

kilka stron. — To musiał być musical. Jest tu coś z poezji:

*Amelia potrzebuje jedzenia,
Ale Amanda potrzebuje mężczyzny...*

Bob nie pozwolił mi czytać dalej.

— Dosyć, dosyć! Ta szmira przyniosła cztery i pół miliona dolarów w czasie Bitwy o Wzgórza.

Odrzuciłem *Amandę* i podniosłem inny spośród rozrzuconych wachlarzowato tomików. Ten, jak zauważyłem, miał oprawę zieloną, a nie standardową ciemnoczerwoną, używaną w studio.

— *Małpa i Duch* — przeczytałem głośno odręczny napis na okładce

— *Małpa i Duch?* — powtórzył z pewnym zdziwieniem Bob.

Zajrzałem na kartkę tytułową.

— „Oryginalne opracowanie Williama Tallisa, Cottonwood Ranch, Murcia, California”. — O, a tu jest uwaga dopisana ołówkiem:

„Zawiadomienie o odrzuceniu wysłane II-6-47. Brak ofrankowanej koperty zwrotnej. Do pieca!” — podwójnie podkreślone.

— Oni otrzymują tego tysiące — wyjaśnił Bob.

Tymczasem zajrzałem do środka scenariusza.

— Znowu poezja.

— O Boże! — zawołał Bob z niesmakiem.

*Jest to przecież oczywiste,
Każdy uczeń to rozumie —
Cele małpim są wymysłem,
Środki tylko ludzkim dziełem.
Chyżo przybywa, przyświadczyć skory
Rozum — stręczyciel na służbie mandryla,
Złośliwych pawianów powiernik.
Przybywa Filozofią wzdęty,
Ale płaszczący się przed tyranami;
Przybywa ten rajfur prusactwa
Z patentowaną Hegla Historią;*

*Przybywa z Medycyny pomocą
By aplikować aphrodisiacum —
Króla Małp hormony;
Przybywa z rymami i Retoryką
By pisać mu mowy;
Przybywa z Rachunkiem — całkowym i
różniczkowym
Aby obliczyć dokładnie tor lotu rakiet
Godzących prosto w sierociniec
Po oceanu drugiej stronie;
Wymierzywszy je, przybywa z kadzidłem
Do Matki Bożej prosić Ją kornie
By celnym był jego pierwszy cios.*

Nastąpiła cisza. Spojrzeliśmy na siebie pytająco.

— Co o tym sądzisz? — zapytał w końcu Bob.

Wzruszyłem ramionami. Doprawdy nie wiedziałem, co o tym sądzić.

— W każdym bądź razie, nie wyrzucaj tego — ciągnął. — Chciałbym zobaczyć, jaka jest reszta.

Poszliśmy dalej i skręciliśmy za ostatnim rogiem, gdzie niczym klasztor franciszkanów, stał wśród palm Dom Pisarzy.

— Tallis — mruknął do siebie Bob, kiedy wchodziliśmy.

— William Tallis... — Potrząsnął głową. — Nie, nigdy o nim nie słyszałem. A w ogóle gdzie jest ta Murcia?

Następnej niedzieli znaleźliśmy odpowiedź — znaleźliśmy ją nie tylko teoretycznie i z pozycji na mapie, ale już z doświadczenia, jadąc tam z szybkością 80 mil na godzinę sportowym Buickiem Boba (a raczej Miriam). Murcia okazała się dwiema czerwonymi pompami benzynowymi i małym sklepikiem z towarami mieszanymi na południowo-zachodnim skraju kalifornijskiej pustyni Mojave.

Długotrwała posucha skończyła się dwa dni temu. Niebo było nadal zaciągnięte chmurami, a zimny wiatr dał bez przerwy z zachodu. Pod stropem ołowianych chmur jak widma bieleły pokryte świeżym śniegiem góry Świętego Gabriela. Lecz daleko, na północnym skraju pu-

styni promienie słońca tworzyły długi, wąski pas rozświetlanego złota. Wszędzie wokół nas trwała miękka szarość i srebro, blada złocistość i rdzawe odcienie pustynnej roślinności; krzewy szałwi wśród kępiastej trawy i fagopyrum, tu i ówdzie drzewa Jozuego o osobliwej gestykulacji konarów o chropatej korze, gdzieniegdzie pokrytych suchymi kolcami; ich rozwidlone gałęzie wieńczyły kiście zielonych, metalicznych igieł.

Stary, głuchy człowiek, do którego musieliśmy wykrykiwać nasze pytania, zrozumiał wreszcie, o co nam chodzi. Cottonwood Ranch — oczywiście, on dobrze wie, gdzie to jest. Musicie pojechać tamtą drogą polną — o tam. Jedźcie w kierunku południowym jedną milę, potem skręćcie na zachód i będziecie jechali wzdłuż kanału nawadniającego dalsze trzy czwarte mili, i to będzie właśnie tam. Staruszek chciał nam opowiedzieć znacznie więcej o owym miejscu, lecz Bob był zbyt niecierpliwy, aby go wysłuchać; zapuścił motor i już nas nie było.

Rosnące wzdłuż kanału irygacyjnego drzewa z gatunku *Populus balsamifera* i zarośla wikliny wyglądały dziwnie obco wśród otaczającej je surowej, ascetycznej flory pustynnej, były jakies niepewne w swym lgnięciu ku łatwiejszej, bujniejszej formie bytu. Na razie stały jeszcze bezlistne szkielety drzew, białe na tle nieba, lecz można było sobie wyobrazić, jak intensywna będzie szmaragdowa zieleń młodych listków za jakies trzy miesiące, w jaskrawym świetle palącego słońca.

Pędzący o wiele za szybko samochód podskoczył ciężko na jakimś nieoczekiwanym wyboju. Bob zaklął.

— Jak ktoś przy zdrowych zmysłach mógł wybrać sobie miejsce do mieszkania akurat na końcu takiej drogi, tego nie mogę zrozumieć.

— Może jeździ po niej troszkę wolniej... — odważyłem się zasugerować.

Bob nie był łaskaw nawet na mnie spojrzeć. Wóz pędził z niezminiejszą szybkością. Usiłowałem skupić uwagę na krajobrazie.

Właśnie nad pustynią nastąpiła jakaś raptowna, choć bezgłówna przemiana. Chmury przesunęły się gdzieś dalej

i teraz słońce oświetlało najbliższe spośród stromych i poszarpanych wzgórz, które niczym wyspy wyrosły przed nimi tak nieoczekiwanie z bezmiaru równiny. Jeszcze przed chwilą były czarne i martwe, teraz raptownie powróciły do życia; pomiędzy zaciemnionym pasem równiny a pochmurną ciemnością tła jaśniały jak gdyby jakąś własną fluorescencją.

Dotknąłem ramienia Boba i wskazałem palcem.

— Rozumiesz teraz, dlaczego Tallis wybrał sobie mieszkanie u krańca tej drogi?

Bob rzucił szybkie spojrzenie, wyminął zwałony pień drzewa, rozejrzał się znów przez ułamek sekundy i zwrócił oczy z powrotem na drogę.

— To przypomina mi tę akwaforytę Goi, wiesz którą: kobieta jedzie na ogierze, a zwierzę odwraca łeb i chwyta jej suknię w zęby, usiłuje ściągnąć ją na dół, chce zerwać z niej ubranie. A ona, w przypiływie rozkoszy, zaśmiewa się niczym szalona. Tłem jest tam równina, pośrodku której wznoszą się strome wzgórza — zupełnie tak jak tutaj. Tylko jeśli się dobrze przyjrzyysz wzgórzom u Goi, zauważysz, że w rzeczywistości są to zwierzęta, jakieś gigantyczne, przycupnięte jaszczury. Kupiłem reprodukcję tej grafiki dla Elaine.

Jednak — przemknęło mi przez myśl — Elaine nie wyciągnęła z tego żadnych wniosków. Pozwoliła ściągnąć się na ziemię; leżała na niej śmiejąc się i śmiejąc niepohamowanie, podczas gdy wielkie zęby darły jej stanik i rwały w strzępy spódniczkę, zostawiając na delikatnej skórze groźne, lecz rozkoszne draśnięcia, owe mrowiące zapowiedzi bólu. A potem, w Acapulco, owe gigantyczne jaszczury ocknęły się ze swego kamiennego snu — i nagle biedny Bob znalazł się w zasadzce, otoczony nie przez omdlewającą Grację czy też roześmianą czeredę Kupidynków o różowych pupkach, lecz przez ogromne potwory.

A tymczasem dotarliśmy do celu. Pomiedzy drzewami rosnącymi wzdłuż kanału dostrzegłem ogromny okaz *Populus balsamifera* i stojący w jego cieniu biały domek, z przylegającymi doń wiatrakiem z jednej strony, a szopą z falistej blachy z drugiej. Brama była zamknięta. Bob za-

trzymał auto, wysiedliśmy. Do słupa przy bramie przybita była biała tablica. Widniał na niej długi napis, niewprawnie wymalowany cynobrową farbą:

*Pijawki pocałunek, uścisk głowonoga,
Małpy lubieżnej dotyk plugawy:
Powiedz, czy lubisz rodzaj ludzki?
Nie, nie bardzo.*

TO SIĘ TYCZY RÓWNIEŻ I CIEBIE – WIĘC TRZYMAJ SIĘ Z DALEKA!

– No pięknie, najwyraźniej dotarliśmy do miejsca, którego szukaliśmy – odezwał się.

Bob skinął głową. Otworzyliśmy bramę, przeszliśmy przez dziedziniec z ubitej ziemi i zapukaliśmy do drzwi domostwa. Otworzyła je niemal natychmiast masywna, starsza kobieta w okularach, ubrana w niebieską bawełnianą suknię w kwiaty i bardzo stary, czerwony żakiet. Uśmiechnęła się do nas życzliwie.

– Wóz się zepsuł, co? – zapytała.

Potrząsnęliśmy przecząco głowami, a Bob wyjaśnił, że przybyliśmy, aby zobaczyć się z panem Tallisem.

– Pan Tallis...

Uśmiech zniknął z jej twarzy; spojrzała na nas poważnie i potrząsnęła głową. – Czyżbyście nie wiedzieli? Pan Tallis odszedł sześć tygodni temu.

– Czy pani chce powiedzieć, że on nie żyje?

– Odszedł – powtórzyła z naciskiem, po czym rozpoczęła swoje opowiadanie.

– Pan Tallis wydzierżawił domek na rok. Ona i jej mąż przenieśli się do małej starej szopy stojącej za stodołą. W szopie nie było nawet toalety, ale oni byli do tego przyzwyczajeni od czasów, gdy mieszkali jeszcze w północnej Dakocie, no i na szczęście zima była ciepła w tym roku. W każdym bądź razie byli zadowoleni, iż mogli zarobić trochę pieniędzy, tak potrzebnych przy obecnych cenach; poza tym trudno byłoby znaleźć człowieka sympatyczniejszego niż pan Tallis, skoro się tylko zrozumiało jego upodobanie do samotności.

— Przypuszczam, że to on właśnie umieścił ten napis na bramie?

Starsza pani skinęła głową i powiedziała, że to było dość dowcipne, postanowiła więc napis zostawić.

— Czy on chorował od dłuższego czasu? — zapytałem.

— Nie chorował w ogóle — odparła. — Chociaż... często wspominał, że ma kłopoty z sercem.

I to stało się przyczyną zgonu. W łazience. Znalazła go tam pewnego ranka, kiedy przyniosła mu kwartę mleka i tuzin jaj ze sklepu. Był zimny jak kamień, musiał tam leżeć przez całą noc. Nigdy jeszcze w swoim życiu nie przeżyła takiego wstrząsu. A prócz tego ile zmartwienia w związku z tym, że nie znali nikogo z jego rodziny!

Wezwano doktora, a potem szeryfa. I musiało być pozwolenie z sądu, zanim można było biedaka pochować, już nie mówiąc o zabalsamowaniu. A potem wszystkie książki, papiery i ubrania trzeba było spakować, a paki opieczetować i oddać to wszystko na skład, gdzieś w Los Angeles, na wypadek, gdyby znalazł się jakiś spadkobierca. No tak, i teraz ona i jej mąż zamieszkali z powrotem w domu, ale jej było z tego powodu raczej nieprzyjemnie, bo biedny pan Tallis miał jeszcze prawo do czteromiesięcznej dzierżawy, zapłacił za całość z góry. Ale oczywiście z jednego powodu była rada, z tego, że teraz, kiedy przyszły w końcu deszcze i śnieg, toaleta znajdowała się wewnątrz mieszkania, a nie na zewnątrz jak wtedy, kiedy mieszkali w szopie.

Zrobiła przerwę dla zaczerpnięcia oddechu. Wymieniliśmy z Bobem spojrzenia.

— No cóż, w takiej sytuacji — odezwałem się — myślę, że powinniśmy już iść.

Ale starsza pani nie chciała o tym nawet słyszeć.

— Proszę do środka — nalegała. — Proszę wejść.

Zawahaliśmy się chwilę, po czym przyjmując zaproszenie, przeszliśmy za nią przez niewielką sień i weszliśmy do pokoju. Olejowy piecyk palił się w rogu pokoju; powietrze było gorące, a silny, niemal dotykalny zapach smażenia oraz pieluszek wypełniał całe mieszkanie. W bu-

jającym fotelu koło okna siedział mały, stary człowieczek, przypominający krasnoludka i czytał niedzielne komiksy. Obok niego blada, o zaaferowanym wyrazie twarzy dziewczyna, która mogła mieć co najwyżej siedemnaście lat, trzymała na ręku dziecko, a drugą zapinała różową bluzkę. Dziecku właśnie się odbiło; bąbelek mleka pojawił się w kąciку ust. Młoda matka zostawiła ostatni guzik niedopięty i zaczęła troskliwie wycierać odętą buzię niemowlęcia. Z sąsiedniego pokoju dolatywały przez otwarte drzwi odgłosy muzyki. Przy akompaniamencie gitary świeży, dźwięczny sopran śpiewał pieśń *Nadeszła godzina*.

— To jest mój mąż — przedstawiła starsza pani — pan Coulton.

— Miło mi poznać — powiedział karzełek, nie odrywając oczu od swego komiksu.

— A to jest nasza wnuczka, Katie. Wyszła za mąż w zeszłym roku.

— Właśnie widzę — powiedział Bob. Skłonił się dziewczynie i obdarzył ją jednym z tych czarujących uśmiechów, z których słynął. Katie spojrzała na niego, jak gdyby był zaledwie częścią umeblowania, po czym zapinając spiesznie ostatni guzik, odwróciła się bez słowa i zaczęła wchodzić po stromych schodach prowadzących do pokoju na górze.

— A to są — ciągnęła pani Coulton, wskazując na mnie i na Boba — dwaj przyjaciele pana Tallisa.

Musielśmy wyjaśnić, że właściwie nie byliśmy jego przyjaciółmi. Wszystko co wiedzieliśmy o panu Tallisie, dotyczyło treści jego dzieła. Zainteresowało nas ono do tego stopnia, że przyjechaliśmy tutaj, mając nadzieję poznać go osobiście, ale jak się okazało po to tylko, by usłyszeć smutną wiadomość o jego śmierci.

Pan Coulton spojrzał na nas sponad gazety.

— Sześćdziesiąt sześć — powiedział. — Miał dopiero sześćdziesiąt sześć lat. Ja mam siedemdziesiąt dwa. Siedemdziesiąt dwa skończone w październiku.

Uśmiechnął się triumfująco jak człowiek, który odniósł zwycięstwo, po czym powrócił do swego Flasha Gordona: Flasha niezwycięzonego, Flasha nieśmiertelne-

go, Flasha niezmiennie rycerskiego dla dziewcząt, nie takich wprawdzie jakimi niestety są, ale takich jakimi chcieliby je widzieć idealisci z przemysłu stanikowego.

— Tak się złożyło, że obejrzałem tę rzecz, którą pan Tallis przysłał do naszego studia — powiedział Bob.

Karzełek wyjrzał znów znad gazety.

— To pan jest z filmu? — zapytał.

Bob potwierdził.

W sąsiednim pokoju śpiew urwał się nagle w połowie frazy.

— I z tych grubych ryb? — badał dalej pan Coulton.

Z najbardziej czarującą, fałszywą skromnością Bob zapewnił go, że jest zaledwie pisarzem, który czasem coś tam dłubie przy reżyserii.

Karzełek pokiwał wolno głową.

— Czytałem w gazecie, że ten Goldwyn powiedział, iż wszystkim grubym rybom obcięli zarobki o 50 procent.

Jego oczki zabłyszczały radośnie, po raz drugi zaśmiał się triumfująco, po czym przestał raptownie interesować się rzeczywistością i powrócił do swoich bajek.

Chrystus przed Lublinem! Spróbowałem zmienić przykry temat, pytając panią Coulton czy wiedziała, że Tallis interesował się filmem, ale kiedy o to pytałem odgłos kroków w środkowym pokoju odwrócił jej uwagę.

Obejrzałem się. W drzwiach stała ubrana w czarny sweter i kraciastą szkocką spódniczkę... Kto? Lady Hamilton w wieku lat szesnastu, Ninon de Lenclos z okresu, gdy utraciła swe dziewictwo z Colignym, *la petite* Morp-hilany, Anna Karenina ze szkolnej ławki.

— To jest Rosie — powiedziała pani Coulton z dumą — nasza druga wnuczka. Rosie uczy się śpiewu — szepnęła do Boba. — Chce dostać się do filmu.

— Ależ jaka interesująca! — zawołał entuzjastycznie Bob, wymieniając uścisk dłoni z przyszłą lady Hamilton.

— Może mógłby jej pan udzielić jakiejś rady — odezwała się kochająca babcia.

— Byłaby to dla mnie największa przyjemność...

— Weź drugie krzesło, Rosie.

Dziewczyna uniosła powieki i rzuciła na Boba krótkie, lecz uważne spojrzenie.

— Jeśli nie będzie panu przeszkadzać siedzenie w kuchni — powiedziała.

— Oczywiście, że nie!

Zniknęli oboje w środkowej izbie. Wyglądając przez okno spostrzegłem, że wzgórze znów pokrył cień. Jaszczury przymknęły swoje ślipy i udawały, że są martwe — po to tylko, by usnąć swe ofiary złudnym poczuciem bezpieczeństwa.

— To jest coś więcej niż szczęście — mówiła pani Coulton. — To jest Opatrzność. Gruba ryba z filmu zjawia się tutaj akurat wtedy, gdy Rosie potrzebuje pomocnej dłoni.

— I akurat wtedy, kiedy filmy zaczynają stawać się wodewilami — odezwał się karzełek, nie unosząc oczu znad leżącej przed nim stronicy.

— Co ci przyszło do głowy, żeby mówić takie rzeczy?

— To nie ja mówię — odparł stary — to mówi ten facet Goldwyn.

Z kuchni dochodziły odgłosy coraz bardziej hałaśliwego dziecinnego śmiechu. Najwidoczniej Bobowi nieźle szło. Zacząłem przewidywać drugą podróż do Acapulco, która mogłaby pociągnąć za sobą skutki bodaj jeszcze okropniejsze niż pierwsza.

Pani Coulton, stręczycielka mimo woli uśmiechała się z zadowoleniem.

— Podoba mi się pański przyjaciel. Umie postępować z dziećmi. Nie jak jakaś nadęta wielkość.

Pozostawiłem tę aluzję bez komentarza i zapytałem ją ponownie, czy wiedziała o tym, że pan Tallis interesował się filmem. Skinęła głową. Tak, mówił jej, że posłał coś do jednej z wytwórni. Chciał zarobić trochę pieniędzy. Nie dla siebie; bo jakkolwiek utracił on większość tego, co kiedyś posiadał, pozostało mu jednak dosyć, żeby mieć za co żyć. Nie, on potrzebował trochę pieniędzy ekstra, żeby wysłać je do Europy. Już dawno temu, jeszcze przed pierwszą wojną światową, ożenił się z pewną młodą Niemką. Potem rozwiedli się i ona została w Niemczech z

dzieckiem. A teraz została tam tylko wnuczka. Pan Tallis chciał ją sprowadzić tutaj, ale ci z Waszyngtonu nie pozwolili. Najlepsze więc, co można było zrobić, to wysłać jej dużo pieniędzy, tak aby mogła się jak należy odżywiać i ukończyć jakieś studia. To był powód, dla którego napisał tę rzecz do filmu.

Jej słowa raptem przypomniały mi coś ze skryptu Tallisa, coś o dzieciach w powojennej Europie, prostytuujących się za tabliczki czekolady. Może jego wnuczka była właśnie jednym z owych dzieci? „*Ich dawać Schokolade, du dawać Liebe. Rozumieć?*”. One rozumiały aż nadto dobrze. Jedna tabliczka Hersheya teraz, a dwie potem.

— Co się stało z żoną? — zapytałem. — I z rodzicami wnuczki?

— Oni umarli — wyjaśnił pan Coulton. — Domyślałam się, że byli Żydami, czy coś takiego.

— Pan rozumie — powiedział raptownie karzełek — ja nic nie mam przeciwko Żydom. Ale... — zawahał się. — Może Hitler nie był mimo wszystko taki głupi.

Powrócił do swojego komiksu. Tym razem, jak zdążyłem zauważyć, były to *Dzieci Katzenjammera*.

Nowa kaskada dziecinnego śmiechu rozległa się w kuchni. Szesnastoletnia lady Hamilton śmiała się tak, jak gdyby miała lat jedenaście. A jednocześnie jakże dojrzałe, jak technicznie bezbłędne było spojrzenie, jakim powitała Boba! Niewątpliwie najbardziej mogło niepokoić w Rosie to, że była ona jednocześnie niewinna i uświadomiona; wyrachowana poszukiwaczka przygód, a jednocześnie pensjonareczka z warkoczykami.

— Ożenił się po raz drugi — kontynuowała starsza pani, nie zwracając uwagi ani na chichoty, ani na antysemityzm. — Z jakąś z teatru. Mówił mi nazwisko, ale je zapomniałam. Jednakże nie trwało to długo; uciekła z jakimś innym jegomościem. Należało mu się to. Nie powinien był się z nią wiązać, skoro miał w Niemczech żonę. Nie uważam, by to było w porządku, całe to rozwodzenie się i poślubianie cudzych mężów.

Podczas ciszy, która potem nastąpiła, sfabrykowałem sobie całą biografię tego człowieka, choć nigdy go nie wi-

działem. Młody człowiek z Nowej Anglii, pochodzący z dobrej rodziny. Starannie wykształcony, ale bez pedanterii; z wrodzonymi zdolnościami, lecz nie tak znów dominującymi, by pragnął zamienić wygodne życie na trudy zawodowego pisarza. Z Harvardu wyjechał do Europy, żył elegancko, poznawał wszędzie najlepsze towarzystwo. A potem w Monachium — byłem tego pewien, że właśnie w Monachium — zakochał się. Wyobraziłem sobie tę dziewczynę, noszącą niemiecki odpowiednik sukni „Liberty”, córkę jakiegoś wziętego artysty albo patrona sztuk pięknych. Jedną z tych niemal bezcielesnych, o zwiewnych ruchach, będących produktem bogactwa i kultury okresu wilhelmowskiego; istotę jednocześnie płochą i skupioną, fascynująco nieobliczalną i szaleńczo idealistyczną, *tief* i niemiecką. Tallis zakochał się, ożenił, stał się ojcem dziecka pomimo chłodnego temperamentu żony, lecz począł się wkrótce dusić w męczącej atmosferze przesadnego uduchowienia, które zapanowało w domu. Jakże świeże i zdrowe wydało mu się w porównaniu z tym powietrze Paryża i atmosfera panująca w kręgu osób otaczających ową młodą aktorkę z Broadwayu, którą spotkał tam na wakacjach!

*La belle Americaine,
Qui rend les hommes fous,
Dans deux ou trois semaines
Partira pour Corfu.*

Lecz ta nie wyjechała na Korfu — albo jeśli wyjechała, to w towarzystwie Tallisa. I nie była z typu oziębłych, nie miała zwiewnie płynących ruchów, nie była ani płocha ani skupiona, ani głęboka ani uduchowiona, nie była również artystyczną snobką. Ale niestety była suką, było to widoczne z biegiem lat coraz bardziej. W okresie, kiedy się z nią rozwodził, przybrało to już postać na wskroś animalną.

Patrząc wstecz, na zdarzenia z roku 1947, Tallis — taki jakim go sobie wyobrażałem — mógł wiedzieć z całą dokładnością to, co uczynił; dla fizycznych przyjemności i równoczesnego podniecenia i zaspokajania erotycznej

wyobraźni, skazał swą żonę i córkę na śmierć z rąk szaleńców, a wnuczkę na pieszczoty byle żołdaka lub spekulanta za cenę przyzwoitego jedzenia lub garść słodyczy.

„Ach, cóż za fantazjowanie!” – pomyślałem po chwili i zwróciłem się do pani Coulton:

– Tak, żałuję, że go nie znałem.

– Z pewnością polubił by go pan – zapewniła mnie.

– My wszyscy lubiliśmy pana Tallisa. Coś panu powiem – wyznała poufnym tonem. – Za każdym razem jak jadę do Lancaster, do Damskiego Klubu Brydżowego, idę na cmentarz żeby go odwiedzić.

– A ja mógłbym się założyć, że on tego nienawidzi – wtrącił się stary.

– Ależ, Elmerze! – zaprotestowała żona.

– Kiedy ja słyszałem, jak on to mówił – upierał się pan Coulton. – I to nieraz. „Jeśli umrę tutaj – mówił – chcę być pochowany na pustyni.”

– Napisał o tym również w rękopisie, który wysłał do studia – powiedziałem.

– Napisał? – z niedowierzaniem powtórzyła pani Coulton.

– Tak jest, a nawet opisał grób, w którym chciał być pochowany. W samotnym grobie pod drzewem Jozuego.

– Mogłem mu powiedzieć, że to nie byłoby zgodne z prawem – wymamrotał karzełek. – Nielegalne od czasu, kiedy właściciele zakładów pogrzebowych przegłosowali tę ustawę w Sacramento. Znałem człowieka, którego musiano wykopać po dwudziestu latach leżenia w ziemi. O tam, za tymi pagórkami. – Pomachał ręką w kierunku jaszczurczych wzgórz Goi. – Kosztowało to jego bratanek trzysta dolarów, zanim uporał się ze wszystkim.

Zachichotał na wspomnienie tej historii.

– Nie chciałabym nigdy być pochowana na pustyni – odezwała się z emfazą w głosie pani Coulton.

– Dlaczego nie?

– To zbyt samotnie – odparła. – Nie zniosłabym tego.

Podczas gdy zastanawiałem się, co by tu jeszcze po-

wiedzieć, blada, młoda matka zeszła po schodach trzymając w ręku pieluszkę. Zatrzymała się na chwilę, aby zajrzeć do kuchni.

— Słuchaj, Rosie — odezwała się cicho, ze złością — czas żebyś dla odmiany i ty trochę popracowała. — Po czym odwróciła się i wyszła do sieni, z której przez otwarte drzwi widać było wnętrze małej łazienki.

— On ma znów biegunkę — powiedziała z goryczą, mijając swą babkę.

Zapłoniona, z oczami błyszczącymi z podniecenia przyszła lady Hamilton, ukazała się w drzwiach kuchni. Z tyłu stał przyszły Hamilton, który pewnie wyobrażał sobie, że jest lordem Nelsonem.

— Babciu — oznajmiła dziewczyna — pan Briggs sądzi, że będzie mógł znaleźć dla mnie rolę w filmie.

Idiota! Wstałem z krzesła.

— Czas żebyśmy jechali, Bob — powiedziałem, zdając sobie jednak sprawę, że było już za późno.

Spoza wpółotwartych drzwi od łazienki dochodził chlupiący odgłos płukania pieluszek.

— Słuchaj! — szepnąłem do Boba, kiedy przechodziliśmy obok drzwi.

— Czego mam słuchać? — zapytał.

Wzruszyłem ramionami. Uszy mają, lecz uszy ich nie słuchają.

Cóż, to było wszystko, czegośmy się kiedykolwiek dowiedzieli o cielesnej powłóce Tallisa. W tym co następuje, czytelnik będzie mógł odnaleźć jedynie odbicie jego umysłu. Drukuję tekst *Malpy i Ducha* tak, jak go znalazłem, bez żadnych zmian i bez komentarza.

II SCENARIUSZ

TYTUŁY, ZASŁUGI i w końcu — przy akompaniamencie trąb i chórów anielskich — nazwisko PRODUCENTA.

Muzyka zmienia swój charakter. Gdyby żył Debussy, by ją skomponować — jakże byłaby delikatna, jak arystokratyczna, jak nieskazitelnie czysta i wolna od Wagnerowskiej lubieżności i pychy, od Straussowskiej wulgarności! Gdyż tu na ekranie, w czymś lepszym niż Technicolor, jest właśnie godzina przedświt. Noc zdaje się trwać jeszcze w mrocznej powierzchni niemal nieruchomego morza; lecz oto z widnokręgu powoli, poprzez seledyn i coraz to głębszy błękit, wschodzi ku zenitowi przejrzysta bladość świtania. Od wschodu widać jeszcze Gwiazdę Poranną.

NARRATOR

Piękno niewysłowione, pokój nie do pojęcia...
Ale niestety, na naszym ekranie
Ów symbol symbolu
Będzie zapewne wyglądać
Niczym ilustracja pani Jakiejś tam
Do poematu Elli Wheeler Wilcox.
Pozbawiona wzniosłości Natury
Sztuka nazbyt często
Produkuje ledwie śmieszność.
Lecz ryzyko musi być podjęte
Dla was tam — na widowni,
W jakiś sposób i za jaką bądź cenę,
Elli Wilcox lub jeszcze gorszą.
W jakiś sposób trzeba wam przypomnieć,

Wpłynąć na was, byście pamiętali,
Ubłagać was, abyście zechcieli
Pojąć — Co jest Czym.

Podczas gdy Narrator mówi, wzrok nasz przenosi się z symbolu Wieczności do wnętrza pałacu filmowego, wypełnionego do granic swej pojemności. Światło staje się nieco mniej zamglone i nagle zdajemy sobie sprawę, że audytorium stanowią wyłącznie elegancko ubrane pawiany obojga płci i różnego wieku, począwszy od pierwszego aż do wtórnego dzieciństwa.

NARRATOR

Ale człowiek, pełen pychy człowiek,
Obdarzony potęgą niewielką i dość krótkotrwałą,
Najbardziej nieświadom tego,
O czym najmocniej bywa przekonany —
Niepomny swej kruchej jak szkło istoty,
Niczym gniewna małpa tak dziwne
Na oczach niebios popełnia wybryki,
Iż zmusza do płaczu nawet anioły.

Przenosimy się na ekran, w którym wpatrzone są z taką uwagą oczy małp. Na tle dekoracji, która mogłaby powstać tylko w wyobraźni Semiramidy albo firmy Metro-Goldwyn-Mayer, widzimy młodą pawianicę o wydatnych piersiach, w sukni wieczorowej koloru różowej muszli; jej wargi są umalowane purpurowo, policzki pokryte bladofioletowym pudrem, ognistoczerwone oczy obwiedzione tuszem. Kołysząc się zmysłowo na swych krótkich nogach, wchodzi na rzęsiście oświetloną estradę nocnego klubu i witana oklaskami dwustu lub trzystu par owłosionych małp, zbliża się do mikrofonu w stylu Ludwika XV. Za nią, na czworakach, wiedziony na lekkim stalowym łańcuchu przymocowanym do obroży, zjawia się Michael Faraday.

NARRATOR

„Najbardziej nieświadom tego, o czym najmocniej by-

wa przekonany...” – I nie muszę chyba dodawać, że to, co my nazywamy wiedzą, jest tylko odmienną formą Ignorancji – oczywiście znakomicie zorganizowanej i wybitnie naukowej, lecz z tego właśnie powodu tym bardziej kompletnej, tym łatwiej produkującej złośliwe małpy. Kiedy Ignorancja była tylko ignorancją, byliśmy odpowiednikami lemurów, marmosetów i wyjców. Dziś, dzięki tej Wyższej Ignorancji, którą jest nasza wiedza, kształty człowieka osiągnęły takie rozmiary, że najmniejszy spośród nas jest obecnie pawianem, największy orangutanem lub nawet, jeśli posiada rangę Zbawcy Społeczeństwa, prawdziwym Gorylem.

Tymczasem młoda pawianica dotarła do mikrofonu. Obróciwszy głowę spostrzega Faradaya w momencie, gdy ten prostuje zgięty i obolały grzbiet.

– Na kolana, sir, na kolana!

Jej ton jest stanowczy. Wymierza starcowi uderzenie szpicrutą, której rękojęść jest z koralu. Faraday kuli się z drżeniem i posłusznie klęka, małpy na widowni rechocą z zadowolenia. Pawianica przesyła im łapą całusa, przyciska do siebie mikrofon i szczerząc swe potężne zęby zaczyna śpiewać dysząco-pożądliwym kontraltem ostatni modny przebój:

*Miłość, Miłość, Miłość –
Miłość jest treścią istotną
Wszystkiego o czym myślę, wszystkiego co czynię.
Daj mi, daj mi, daj mi,
Daj mi odprężenie,
Daj mi siebie.*

Zbliżenie. Twarz Faradaya wyraża zdumienie, odrazę, oburzenie, a wreszcie takie upokorzenie i udrękę, że po pokrytych bruzdami policzkach zaczynają spływać łzy.

Ujęcia montażowe zasłuchanej publiczności radiowej.

Krzepka pawianica-gospodyni smaży kiełbaski, podczas gdy głośnik przynosi w jej imaginacji spełnienie, a w rzeczywistości pobudza jej najskrytsze pożądania.

Małe pawianiątko w swym łóżeczku wspina się ku ra-

dioaparatu na komodzie, by złapać regulatorem obietnicę odprężenia.

Pawian-finansista w średnim wieku, przerywa lekturę wiadomości giełdowych, aby posłuchać z zamkniętymi oczami i uśmiechem ekstazy przeboju *Daj mi, daj mi, daj mi*.

Dwoje pawianów-nastolatków pieści się przy dźwiękach muzyki w zaparkowanym samochodzie. „To znaczy ciebie-ee...” Zbliżenie warg i łap.

Z powrotem łączy Faradaya. Śpiewaczka odwraca się, spostrzega jego cierpiącą twarz, wydaje okrzyk wściekłości i zaczyna bić go dziko, cios za ciosem; publiczność przyjmuje to z głośnym aplauzem. Złote i jaspisowe ściany nocnego klubu znikają, i przez chwilę widzimy w słabym blasku świtu sylwetki małpy i jej jeńca-intelektualisty. Następnie znikają i te; widać tylko symbol symbolu Wieczności.

NARRATOR

Morze, świetlista planeta, niezmierny przestwór nieba — z pewnością macie to w pamięci! Z pewnością! A może zapomnieliście, może nawet nigdy nie odkryliście istnienia tego, co leży poza mentalnym Zoo i wewnętrznym Azylem, i całym tym Broadwayem teatrów wyobraźni, gdzie wasze własne imię jest zawsze tym jedynym, które błyszczy i jaśnieje w chwale?

Obiektów przesuwających się po niebie i oto czarny, postrzępiony kontur skalistej wyspy przecina linię horyzontu. Widzimy mijający wyspę duży, czteromasztowy szkuner. Zbliżając się dostrzegamy, że statek płynie pod flagą Nowej Zelandii i nazywa się „Canterbury”. Kapitan i grupa pasażerów stoją przy poręczy burty i wpatrują się z napięciem w kierunku wschodnim. Patrzymy przez ich lornetki i dostrzegamy linię jałowego brzegu. Jednocześnie, nagle ukazuje się spoza dalekich szczytów górskich wschodzące, jeszcze blade słońce.

NARRATOR

Ten nowy, pogodny dzień jest dniem dwudziestego lutego 2108 roku, a ci mężczyźni i kobiety na pokładzie są członkami Nowozelandzkiej Ekspedycji Ponownego Odkrycia Północnej Ameryki. Oszczędzona przez strony biorące udział w trzeciej wojnie światowej (nie dla jakichkolwiek zresztą względów humanitarnych, lecz po prostu podobnie jak i Afryka Równikowa z tego powodu, iż była zbyt oddalona, by komukolwiek warto ją było niszczyć) Nowa Zelandia przetrwała. A nawet względnie prosperowała w swej niemal absolutnej, trwającej ponad stulecie izolacji, spowodowanej stanem groźnej radioaktywności, w jakim znajdowała się reszta świata. Teraz, gdy niebezpieczeństwo już minęło, tu właśnie przybywają jej pierwsi badacze – tym razem od zachodu – ponownie odkrywający Amerykę. A po drugiej stronie świata ludy czarnoskóre odnalazły drogę prowadzącą w dół Nilem i poprzez Morze Śródziemne. Cóż za wspaniałe tańce plemienne w opustoszałych, nawiedzanych przez nietoperze salach Matki Parlamentów! A labirynt Watykanu? Cóż za kapitalne miejsce do odprawiania długich i skomplikowanych rytuałów żeńskiego obrzezania! Mamy więc dokładnie to, czegośmy się sami domagali.

Ekran zalega ciemność, słysząc huk dział. Kiedy scena znowu się rozwidnia, dostrzegamy z tyłu, za grupą pawianów w wojskowych mundurach, przykucniętego i uwiązanego na smyczy dr Alberta Einsteina.

Obiektów przesuwają się ponad wąskim pasem bezpańskiej ziemi pokrytej rumowiskiem, strzaskanymi drzewami i zwłokami, zatrzymuje się na drugiej grupie zwierząt, inaczej umundurowanych i pod inną flagą, lecz z tym samym i na takim samym postronku dr Albertem Einsteinem, przykucniętym obok ich wysokich butów. Dobra, niewinna twarz w aureoli rozwichrzonych włosów, z wyrazem jakby bolesnego oszołomienia. Obiektów wędruje od jednego Einsteina do drugiego. Zbliżenia dwóch identycznych twarzy, ze smutkiem spoglądających na siebie poprzez wyglansowane buty swoich panów.

Na ścieżce dźwiękowej głos, saksofony oraz wiolonczele kontynuują tęskne zawołanie na temat upragnionego odprężenia.

— Czy to ty, Albercie? — pyta z wahaniem jeden z Einsteinów.

Drugi powoli kiwa głową potakująco.

— Obawiam się, że tak, Albercie.

Ponad głowami zaczynają raptownie łopotać sztandary stojących naprzeciw siebie armii. Poruszone powiewem wiatru barwne proporce rozwijają się, a po chwili zwijają, po czym znów łopocą rozpostarte, by opaść jeszcze raz i skurczyć się w fałdach.

NARRATOR

Pionowe pasy, poziome pasy, koła i krzyże, orły i młoty. Zaledwie umówione znaki. Lecz każda rzeczywistość, której przydany został znak, staje się tym samym podległa swemu znakowi. Goswani i Ali żyli zawsze w pokoju. Ale ja dostałem flagę, ty dostałeś flagę, wszystkie dzieci Boga Pawianów dostały flagi, tak więc nawet Ali i Goswami dostali flagi. I z powodu flag natychmiast wydało się słusznym i właściwym każdemu posiadającemu napletek wypatroszyć tego, który go nie posiadał, a obrzezanemu zastrzelić nieobrzezanego, zgwałcić jego żonę i upiec jego dzieci na wolnym ogniu.

Lecz tymczasem ponad chorągwiami płyną wielkie obłoki. Nad nimi, jeszcze wyżej, rozpościera się owa niebios pustka przestworzy, będąca symbolem naszej przeźroczywej treści duchowej, zaś niżej, tam gdzie tkwią drzewce rozpostartych sztandarów, wzrasta pszenica i szmaragdowozielony ryż i proso. Chleb dla ciała i dla ducha. Nasz wybór waha się między chlebem a płótnem sztandarów. Nie muszę chyba dodawać, że płótno sztandarów jest tym, co wybraliśmy niemal jednogłośnie.

Kamera przesuwa się od sztandarów do obu Einsteinów, po czym opuszcza Einsteinów i wraca do udekorowanych oficerów sztabów generalnych na dalszym planie. Równocześnie padają komendy obu głównych marszał-

ków polnych. Natychmiast zjawiają się z obu stron pawiany-technicy wraz z automatycznymi urządzeniami do wypuszczania aerozoli. Na zbiornikach-sprężarkach jednej armii widnieje wymalowany napis: SUPER TULAREMIA, na zbiornikach ich nieprzyjaciół: ULEPSZONA NOSACIZNA – GWARANTOWANA 99,44 procent.

Każdej grupie techników towarzyszy maskotka: Louis Pasteur na łańcuchu. Dźwiękowy podkład stanowi reminiscencja z piosenki śpiewanej przez pawianiczkę – *Daj mi, daj mi, daj mi odprężenie...*, po czym ta rozkosznie podniecająca melodia zmienia się w hymn *Kraj nadziei i chwały*, grany przez setkę połączonych orkiestr dętych i śpiewany przez chór czterestu tysięcy głosów.

NARRATOR

Jaki kraj, pytacie? A ja wam odpowiem,
Jakikolwiek stary kraj.
Chwała, oczywiście, Królowi Małp,
A co do nadziei –
To zmiłuj się Boże – nie ma żadnej nadziei,
A tylko niemal nieskończone prawdopodobieństwo
osiągnięcia w sposób nagły
Lub inaczej – cał po calu
Owego ostatecznego i nieodwracalnego już
Odprężenia.

Zbliżenie łap spoczywających na zaworach, po czym kamera cofa się. Ze zbiorników-sprężarek dwie gęste smugi żółtawej mgły zaczynają leniwie toczyć się ku sobie ponad połacią ziemi niczyjej.

NARRATOR

Nosacizna, moi drodzy, nosacizna – zaraza koni, rzadka wśród ludzi. Lecz nie bójcie się. Nauka może ją łatwo uczynić uniwersalną. A oto jej objawy. Gwałtowne bóle we wszystkich stawach. Krosty na całym ciele. Twar-

de nabrzmienia podskórne, które pękają i tworzą duże łu-
szczące się wrzody. Równocześnie pojawia się zapalenie
 błony śluzowej nosa, z którego zaczyna obficie wydzielać
 się cuchnąca ropa. Niebawem w nozdrzach formują się
 wrzody i przeżerają przyległe chrząstki i ścianki kostne. Z
 nosa infekcja przedostaje się do oczu, ust, gardła i dróg
 oddechowych. W ciągu trzech tygodni większość chorych
 umiera. Upewnienie się, że wszyscy umrą, było zada-
 niem stojącym przed owymi znakomitymi, młodymi dok-
 torami, którzy pozostają obecnie w służbie waszych rzą-
 dów. I nie tylko waszych rządów: wszystkich pozostałych,
 powołanych w drodze wyborów czy też samozwańczych
 organizatorów zbiorowej schizofrenii tego świata. Biolo-
 gowie, patologowie, fizjologowie – oto ich widzimy, jak
 wracają do domów, do swych rodzin, po ciężkim dniu
 pracy w laboratorium. Pieszczotliwy uścisk drobnej, uro-
 czej żony. Baraszkowanie z dziećmi. Spokojny obiad z
 przyjaciółmi, zakończony wieczorem muzyki kameralnej
 lub inteligentną pogawędką o polityce czy filozofii.
 Wreszcie łóżko o jedenastej i dobrze znane rozkosze mał-
 żeńskiej miłości. A rano sok pomarańczowy i winogrona,
 zanim znów nie wyjdą do swej pracy nad odkryciem spo-
 sobów, jakimi można by jeszcze większą ilość rodzin, do-
 kładnie takich samych jak ich własne rodziny, zarazić je-
 szcze straszliwszą odmianą *bacillus mallei*.

Słysząc nowe ujadanie i szcęk komend rzucanych
 przez obu głównych marszałków. Wśród grupy małą w
 wysokich butach, których obowiązkiem jest czuwanie nad
 dostawą geniuszy dla każdej z obu armii, słysząc gwał-
 towne trzaskanie biczów i szarpanie smyczami.

Zbliżenie obu Einsteinów w momencie, gdy usiłują
 stawiać opór.

- Nie, nie... ja nie mogę.
- Mówię wam, ja nie mogę.
- Nielojalny!
- Niepatriotyczny!
- Plugawy komunista!
- Śmierdzący faszystowski burżuj!
- Czerwony imperialista!

- Kapitalista-monopolista!
- A masz!
- A masz!

Skopany, wychłostany, na wpół uduszony, każdy z Einsteinów zostaje w końcu zaciągnięty do czegoś w rodzaju strażniczej budki. Wewnątrz tablice rozdzielcze zaopatrzone w cyfrowe tarcze, przyciski i wyłączniki.

NARRATOR

Jest to przecież oczywiste,
 Każdy uczeń to rozumie –
 Cele małpim są wymysłem,
 Środki tylko ludzkim dziełem.
 Chyżo przybywa, przyświadczyć skory
 Rozum – stręczyciel na służbie mandryla,
 Złośliwych pawianów powiernik;
 Przybywa Filozofią wzdęty,
 Ale płaszczący się przed tyranami;
 Przybywa ten rajfur prusactwa
 Z patentowaną Hegla Historią;
 Przybywa z medycyny pomocą
 By aplikować aphrodisiacum –
 Króla małp hormony;
 Przybywa z rymami i Retoryką
 By pisać mu mowy;
 Przybywa z Rachunkiem – całkowym i
różniczkowym
 Aby obliczyć dokładnie tor lotu raket
 Godzących prosto w sierocieniec
 Po oceanu drugiej stronie;
 Wymierzywszy je, przybywa z kadzidłem
 Do Matki Bożej prosić Ją kornie
 By celnym był jego pierwszy cios.

Po orkiestrach dętych przychodzi kolej na kleisto-słodkie tony organów Wurlitzera. Słysząc dźwięki pieśni *Kraj nadziei i chwały* oraz *Naprzód, żołnierze Chrystusa*. W asyście Przewielebnego Dziekana i Przełożonego

Kapituły kroczy majestatycznie, z pastorałem w pokrytej klejnotami łapie, Najprzewielebniejszy Pawiani Biskup dzielnicy Bronx, aby udzielić błogosławieństwa dwóm głównym marszałkom polnym i ich patriotycznym przedsięwzięciom.

NARRATOR

Kościół i Państwo,
Chciwość i Nienawiść:
Dwa pawiany w ciele jednego Wszechpotężnego
Goryla.

OMNES

Amen, amen.

BISKUP

In nomine Babuini... w imię Pawiana...

Podkład dźwiękowy: vox humana i chóry anielskie.

„(diminuendo) Z krzyżem (pianissimo) Jezusa, (fortissimo) naprzód kroczymy!”

Olbrzymie łapy unoszą obu Einsteinów, stawiają na nogi i, jak widzimy na zbliżeniu, chwytają przeguby ich rąk. Palce, które kreśliły równania, dzięki którym ucieleśniał się duch muzyki Jana Sebastiana Bacha — teraz te palce, kierowane małpimi łapami, zbliżają się do magicznych kontaktów i, mimo rozpaczliwego buntu, powoli je przekręcają. Słysząc delikatny trzask, po czym następuje długa cisza, przzerwana wreszcie przez głos Narratora.

NARRATOR

Nawet przy szybkościach naddźwiękowych upłynąć musi pewien określony czas, zanim pociski osiągną swych celów. Cóż więc byście powiedzieli na to, moi panowie, gdyby tak przegryźć nieco w trakcie oczekiwania na Sąd Ostateczny?

Małpy otwierają swoje torby z jedzeniem, rzucają Einsteinom trochę chleba, parę marchewek i dwie lub trzy kostki cukru, po czym zajmują się już wyłącznie rumem i kielbaskami po bolońsku.

Przenosimy się z powrotem na pokład szkunera, gdzie uczeni członkowie ekspedycji odkrywczej również akurat spożywają śniadanie.

NARRATOR

A oto są niektórzy z tych, którym udało się przeżyć ów Sąd. Tacy mili ludzie! I cywilizacja, którą reprezentują, jest również nie do pogardzenia. Nic znowu szczególnie podniecającego lub godnego specjalnej uwagi. Żadne Partenony czy Kaplice Sykstyńskie, żadni Newtonowie ani Mozartowie czy Szekspirowie, ale również i nie Ezzelelinowie, nie Napoleonowie, nie Hitlerowie czy Jay Gouzdowie, żadnych Inkwizycji czy NKWD, żadnych czystek, pogromów czy linczów! Nie znajdziecie tam ani wyniosłych szczytów, ani otchłannych przepaści, ale za to pełno mleka dla dzieci i umiarkowanie wysoki przeciętny iloraz inteligencji, a wszystko w nieco prowincjonalny sposób spokojne, na wskroś pogodne, rozsądne i ludzkie.

Jeden z mężczyzn unosi lornetkę i przypatruje się uważnie brzegowi, odległemu obecnie już tylko o milę lub dwie. Nagle wydaje pełen radosnego zdziwienia okrzyk.

— Patrzcie! — Wręcza lornetkę jednemu ze swych towarzyszy. — Tam, na szczyt wzgórza.

Drugi spogląda.

Teleskopowy obraz niezbyt wysokich wzgórz. W najwyższym punkcie łańcucha widnieją na tle nieba, niczym urządzenia zmodernizowanej i bardziej wydajnej Kalwarii, wyniosłe sylwetki trzech szczytów naftowych.

— Nafta! — krzyczy w podnieceniu ów drugi obserwator. — I szyby nadal stoją.

— Nadal stoją?

Ogólne zdziwienie.

— To znaczy — odzywa się stary profesor Craigie, geolog — że nie mogło być wielu eksplozji w okolicy.

— Ależ eksplozje wcale nie są konieczne — wyjaśnia jego kolega z Departamentu Fizyki Jądrowej. — Gazy radioaktywne spełniają rolę równie doskonale i to na znacznie większej przestrzeni.

Zapominacie o bakteriach i wirusach — wtrąca tonem człowieka, który uważa, iż został zlekceważony, profesor Grampian, biolog.

Jego młoda żona, która jest tylko antropologiem i z tego powodu nie może nic wnieść do dyskusji, zadowolić się musi niechętnym spoglądaniem na fizyka.

Pani Ethel Hook z Wydziału Botaniki, o atletycznej budowie, uwydatnionej jeszcze kostiumem z grubego tweedu, lecz jednocześnie o wyglądzie na wskroś inteligentnym dzięki okularom w rogowej oprawie przypomina im, że często wywoływano wtedy również zarazy u roślin. Wypowiedziawszy tę uwagę zwraca się ku doktorowi Poole'owi, oczekując potwierdzenia z jego strony. Ten kiwa głową potakująco.

— Choroby roślin dostarczających pożywienia — mówi profesorskim tonem — mogą wywierać długotrwałe skutki o znaczeniu nie mniej decydującym niż te, które osiąga się przez rozbicie materii lub sztucznie wywoływane epidemie. Weźcie pod uwagę na przykład kartofel...

— Ale po co zawracać sobie głowę takimi fantastycznymi sposobami? — przerywa donośnym basem, znajdujący się w tej samej grupie inżynier, dr Cudworth. — Odetnijcie wodociągi, i będzie po wszystkim w ciągu jednego tygodnia. Nie ma picia, nie ma życia.

Zachwycony swym własnym żartem wybucha głośnym śmiechem.

Tymczasem dr Schneeglock, psycholog, siedzi w milczeniu przysłuchując się dyskusji z uśmiechem źle ukrywanej wzdąrdy.

— Ale po cóż zawracać sobie głowę wodociągami? — rzuca pytanie. — W zupełności wystarczy, jeśli zagroziecie waszym sąsiadom jakąkolwiek bronią masowego zniszczenia. Panika dokona reszty. Przypomnijcie sobie choćby skutki tej akcji psychologicznej w Nowym Jorku. Krótkofalowe audycje radiowe z zagranicy, nagłówki w wieczor-

nych gazetach, i natychmiast, na wszystkich mostach i w tunelach, osiem milionów ludzi zaczęło się wzajemnie trawować na śmierć. A ci, którzy się uratowali, rozproszyli się po całym kraju niczym szarańcza, niczym fala dotkniętych zarazą szczurów: zatruwając bieżącą wodę, roznosząc tyfus, dyfteryt i choroby weneryczne, gryząc, drapiąc, plądrując, mordując i gwałcąc, żywiąc się zdechłymi psami i zwłokami dzieci. Ostrzeliwani bez ostrzeżenia przez farmerów, tłuczeni pałkami przez policję, koszeni z karabinów maszynowych przez Gwardię Stanową, wieszani przez Straż Ochotniczą. A to samo działo się w Chicago, Detroit, Filadelfii, Waszyngtonie, w Londynie, w Paryżu, w Bombaju, Szanghaju i Tokio, w Moskwie, w Kijowie, w Stalingradzie, w każdej stolicy, w każdym ośrodku przemysłowym, w każdym porcie, w każdym węźle kolejowym — wszędzie na świecie. Ani jeden strzał armatni nie został oddany, a cywilizacja leżała już w gruzach. Dlaczego żołnierze w ogóle widzieli jeszcze potrzebę robienia użytku ze swoich bomb, tego naprawdę nie potrafię zrozumieć.

NARRATOR

Miłość eliminuje strach, lecz i odwrotnie — strach unicestwia miłość. I nie tylko miłość. Strach unicestwia również inteligencję, unicestwia dobroć, zabija wszelką myśl o pięknie i prawdzie. To co pozostaje, jest tylko niemą lub sztucznie żartobliwą desperacją kogoś, kto zdaje sobie sprawę z jakiejś plugawej Obecności w kącie pokoju i wie, że drzwi są zamknięte, i że nie ma tam okien. I teraz to coś rzuca się na niego. Czuje rękę na swym ramieniu, chwytą nozdrzami cuchnący oddech, kiedy pomocnik oprawcy pochyla się ku niemu niemal miłośnie. „Teraz twoja kolej, bracie. Proszę tędy.” I w jednej chwili jego lekki strach przemienia się w szal, we wściekłość równie gwałtowną jak i bezużyteczną. To już nie jest człowiek wśród innych ludzi, już przestaje być istotą rozumną, przemawiającą w sposób jasny do innej istoty rozumnej; zostaje już tylko kaleczone, przeraźliwie krzyczące i mio-

tające się w potrzasku zwierzę. Gdyż w końcu strach zabija w człowieku nawet jego człowieczeństwo. A strach, moi drodzy przyjaciele, strach jest prawdziwą podstawą i fundamentem współczesnego życia. Strach przed nieustannie propagowaną techniką, która podnosząc nasz poziom życia, zwiększa prawdopodobieństwo gwałtownej śmierci. Strach przed nauką, która jedną ręką zabiera więcej nawet, niż hojnie rozdaje drugą. Strach przed jawnie szkodliwymi instytucjami, dla których jesteśmy gotowi, przez swą samobójczą lojalność, zarówno zabijać, jak i umierać. Strach przed Wielkimi Ludźmi, którym daliśmy za zgodą ogółu władzę, używaną przez nich, by nas nieodwołalnie wymordować lub uczynić niewolnikami. Strach przed Wojną, której nie chcemy, czyniąc jednocześnie wszystko co w naszej mocy, by do niej dojść musiało.

Podczas gdy Narrator mówi, wzrok nasz przenosi się na scenę pikniku pawianów na świeżym powietrzu, z udziałem więzionych Einsteinów. Wszyscy jedzą i piją z wielkim apetytem, podczas gdy dwie pierwsze zwrotki pieśni *Naprzód, żołnierze Chrystusa!* są powtarzane raz po raz, coraz szybciej i coraz głośniej. Nagle muzykę przerywa pierwsza seria potężnych wybuchów. Ciemność. Dudniący, ogłuszający huk, łoskot pękania, odgłosy rozdzierających krzyków i jęków. Wreszcie cisza i światło coraz jaśniejsze – i znów jest godzina przedświt, z gwiazdą poranną i delikatną, czystą muzyką.

NARRATOR

Piękno niewysłowione, pokój nie do pojęcia...

Hen daleko, spoza linii widnokregu, słup różowego dymu unosi się ku niebu, rozszerza się, przybiera kształt potwornego grzyba i wreszcie zawisa w powietrzu, rzucając mroczny cień na opuszczoną, samotną planetę.

Wracamy do sceny pikniku. Wszystkie pawiany leżą martwe. Pod szczątkami kwitnącej jabłoni leżą również

obok siebie straszliwie zniekształceni oparzeniami obaj Einsteinowie. Niedaleko od nich, ze zbiornika wysokiego ciśnienia sączy się jeszcze smuga koncentratu zarazków nosaczyny.

PIERWSZY EINSTEIN

– To jest niesprawiedliwe, to nie jest w porządku...

DRUGI EINSTEIN

– My, którzy nigdy nikomu nie uczyniliśmy żadnej krzywdy.

PIERWSZY EINSTEIN

– My, którzy żyliśmy wyłącznie dla Prawdy...

NARRATOR

A to jest właśnie główna przyczyna, dla której teraz musicie umrzeć, odbywszy swą morderczą służbę u pawianów. Pascal wyjaśnił to wszystko już ponad trzysta lat temu: „Czynimy sobie z prawdy bożka, gdyż prawda bez miłosierdzia nie jest Bogiem, lecz jego wyobrażeniem, bożkiem, którego nie potrzebujemy ani kochać, ani czcić”. Wy żyliście, aby czcić bożka. Lecz ostatecznie imię każdego bożka brzmi Moloch. Oto więc tu jesteście, moi przyjaciele. Oto więc tu jesteście.

Utrzymująca się dotąd nieruchomo mgła zarazy, poruszona nagłym podmuchem wiatru, zaczyna znów przesuwać się bezszelestnie, rozsnuwa się żółtawy opar, owiewa obsypane kwieciem gałązki jabłoni, po czym opada, przesłaniając oba leżące na ziemi ciała. Zduszony krzyk obwieszcza samobójczą śmierć wiedzy dwudziestego wieku.

Przenosimy się na wybrzeże południowej Kalifornii, do miejsca oddalonego o mniej więcej dwadzieścia mil na zachód od Los Angeles. Naukowcy z ekspedycji odkrywczą wysiadają właśnie z szalupy na ląd. Na dalszym planie widać wylot olbrzymiego kanału roztrzaskanego w miejscu, gdzie uchodził do morza.

NARRATOR

Partenon, Koloseum —
Chwała Grecji, wielkość, et cetera.
A także wszystkie inne:
Teby i Copan, Arezzo i Adzanta,
I Bourges, wieżami strzelistymi
Szturmujące niebo,
I Święta Mądrość unosząca się w spokoju.
Królowej Wiktorii natomiast
Chwałą jedyną i niezachwianą,
Tą, która przetrwa, jest W.C.
Wielkością zaś Franklina Delano
Czyż nie jest przypadkiem
Największa rura ssąca świata —
Wyschnięta obecnie i strzaskana
O Ichabod, Ichabod!
A kolekcja licznych prezerwatyw
(niezniszczalnych jak nadzieja, jak żądza)
Już nie bieleje na opustoszałej plaży
Niczym mleczna droga zawilców i stokrotek.

Tymczasem uczeni — z doktorem Craigie na czele —
przebyli plażę, wdrapali się na niewysokie przybrzeżne
skały i szukają drogi prowadzącej przez piaszczystą i po-
ciętą żlebami równinę ku szybom naftowym na wzgó-
rzach opodal.

Kamera zatrzymuje się na osobie dr Poole'a, głównego
botanika ekspedycji. Jak pasąca się owca chodzi od
rośliny do rośliny, bada kwiaty przez szkło powiększają-
ce, odkłada pewne okazy na bok do pudła ze zbiorami i
robi notatki w małej czarnej książeczce.

NARRATOR

A otóż i on — nasz bohater — dr Alfred Poole, dok-
tor nauk przyrodniczych. Bardziej znany wśród swoich
studentów i młodszych kolegów jako Niemrawy Poole.
Niestety, przezwisko to jest boleśnie trafne, gdyż jakkol-

wiek niebrzydki, co zresztą sami widzicie, i jakkolwiek członek Królewskiego Towarzystwa Nowozelandzkiego, człowiek żadną miarą nie mogący uchodzić za głupca — inteligencja jego w życiu praktycznym wydaje się być tylko potencjalna, a jego atrakcyjność więcej niż ukryta. Wygląda to tak, jak gdyby żył osłonięty jakąś płytą szklaną, przez którą może patrzeć i może być widzianym, lecz z jej powodu nie jest zdolny do nawiązania jakiegokolwiek kontaktu. A przyczyna tej wady czy raczej wina, o czym aż nazbyt chętnie opowie wam dr Schneeglock z wydziału psychologii, leży nie gdzie indziej, jak tylko po stronie jego Matki z jej całym dewocyjnym wdowieństwem: tej świętej, tego filaru hartu ducha, tego wampira, który wciąż prezyduje przy stole w czasie porannych posiłków i który własnymi rękami pierze jego jedwabne koszule oraz z poświęceniem ceruje skarpetki.

Na ekranie pojawia się teraz, pełna hałaśliwego entuzjazmu, panna Hook.

— Czyż to nie jest wspaniałe, Alfredzie! — wykrzykuje.

— Istotnie — mówi dr Poole grzecznie.

— Widzieć odmianę *Yucca gloriosa* na jej ojczystym terenie, któż by kiedy pomyślał, że będziemy mieli taką okazję? i *Artemisia tridentata*!

— Jeszcze jest trochę kwiatów na bylicy — mówi dr Poole. Czy nie zauważyłaś w nich niczego szczególnego?

Panna Hook bada je i potrząsa przecząco głową.

— Są o wiele większe niż te, które są opisane w starych pracach.

NARRATOR

W tweedowym kostiumie i rogowych okularach, Ethel Hook jest jedną z tych nadzwyczaj zdrowych, zadziwiająco energicznych i na wskroś angielskich dziewcząt, których poślubienia tak bardzo powinno się unikać, chyba że jest się samemu równie zdrowym, równie angielskim i jeszcze bardziej energicznym. To jest prawdopodobnie powodem, iż przy swoich 35 latach Ethel nadal nie posiada męża. Nadal nie ma męża, ale ośmiela się mieć tę nadzie-

ję, że już niedługo to potrwa. Gdyż jakkolwiek drogi Alfred w danej chwili jeszcze jej się nie oświadczył, ona przecież wie (i wie, że on wie), iż jest najgorętszym życzeniem jego Matki, by to właśnie — i to dla własnego dobra — uczynił. A Alfred jest najbardziej posłusznym ze wszystkich posłusznym synów. Poza tym, mają oni tyle wspólnych zamiłowań: botanika, uniwersytet, poezja Wordswortha. Ona czuje to wewnętrznie, iż zanim powrócą do Auckland, wszystko będzie już załatwione: prosta ceremonia z udziałem kochanego starego dr. Trilliamsa, miodowy miesiąc w południowych Alpach, powrót do ich miłego, małego domku w Mount Eden i wreszcie, po osiemnastu miesiąch pierwsze dziecko...

Przyjrzyjmy się pozostałym członkom ekspedycji, jak z trudem wspinają się na wzgórze, kierując się w stronę szybów naftowych. Idący w przodzie, prof. Craigie zatrzymuje się dla otarcia czoła i zebrania myśli o ciężących na nim obowiązkach.

— Gdzie jest Poole? — pyta. — A Ethel Hook?

Ktoś wskazuje palcem i widzimy w oddali sylwetki obojga. Na ekranie zdjęcie prof. Craigie składającego dłonie przy ustach i krzyczącego: „Poole, Poole!”

— Dlaczego nie dacie im trochę poromansować? — pyta życzliwy Cudworth.

— Romans, rzeczywiście! — parska szyderczo dr Schneeglock.

— Ależ ona wyraźnie ma na niego apetyt.

— Do romansu trzeba jednak dwojga.

— Zaufajcie kobiecie, że znajdzie sobie mężczyznę, który by się jej oświadczył.

— Równie dobrze możecie się po nim spodziewać, że popełni kazirodztwo ze swą matką — mówi z przekąsem dr Schneeglock.

— Poolee! — ryczy jeszcze raz prof. Craigie i zwracając się do reszty dodaje z irytacją w głosie: — Bardzo tego nie lubię, kiedy mi ludzie pozostają w tyle. W obcym kraju... nigdy nic nie wiadomo.

Ponawia wołanie.

Widzimy znów dr. Poole'a i pannę Hook. Słyszą wo-

łanie z oddali, odrywają oczy od swojej *Artemisia tetraploida*, machają rękami i ruszają, by dogonić kolegów. Nagle dr Poole dostrzega coś i zaczyna głośno krzyczeć.

— Spójrz! — pokazuje palcem.

— Co to jest ?

— *Echinocactus hexaedrophorus* i to najpiękniejszy okaz.

Na ekranie, w planie amerykańskim ukazuje się zrujnowany bungalow, stojący wśród kęp szałwi. Potem zbliżenie na kaktusa rosnącego pomiędzy dwiema płytami kamiennymi leżącymi tuż opodal drzwi frontowych. Znowu zdjęcie dr. Poole'a. Ze skórzanej pochwy przy pasku wyciąga długą łopatkę o wąskim ostrzu.

— Chyba nie będziesz go wykopywał?

Zamiast odpowiedzieć podchodzi do miejsca, z którego kaktus wyrasta i kuca przy nim.

— Profesor Craigie będzie bardzo niezadowolony — protestuje panna Hook.

— Dobrze więc, biegnij naprzód i uspokój go.

Ethel patrzy na niego dłuższą chwilę z wyrazem szczerzego zatroskania.

— Nie znoszę zostawiać cię samego, Alfredzie.

— Mówisz tak, jak gdybym miał pięć lat — odpowiada ze zniecierpliwieniem. — Mówię ci, idź naprzód.

Odwraca się i zaczyna kopać.

Panna Hook nie usłyszała go, lecz stojąc patrzy na niego w milczeniu przez dłuższą chwilę.

NARRATOR

Tragedia jest to farsa, która wzbudza naszą sympatię: farsa jest tragedią, która przydarza się ludziom nam obojętnym. Panna Hook „sportowa” i świeża, zdrowa i dzielna, jest tematem prostszej satyry, ale jest przecież równocześnie i autorką Intymnego Dzienniczka. Jakież płonące zachody słońca widziała, i jak na próżno usiłowała je opisać! Jakie aksamitne i rozkoszne noce letnie! Jak lirycznie piękne dni wiosenne! I och, te wezbrane potoki uczuć, te pokusy, nadzieje, namiętne bicia serca i upokarzające roz-

czarowania! I teraz po latach, po tylu zebraniach najrozmaitszych komisji, w których brała udział, po tylu lekcjach przerobionych i tylu zadaniach egzaminacyjnych poprawionych, teraz nareszcie Bóg w jakiś tajemniczy swój sposób uczynił ją — ona to czuje — odpowiedzialną za losy tego bezradnego i nieszczęśliwego człowieka. A ponieważ on jest nieszczęśliwy i bezradny, ona go kocha; nie romantycznie oczywiście, nie tak jak kochała owego nicponia o zmierzwionej czuprynie, który piętnaście lat temu po prostu zerwał się jej spod nóg i ożenił się z córką tego bogatego przedsiębiorcy budowlanego, lecz naprawdę nie kocha go wcale mniej, tylko z uczuciem tkliwej opiekuńczości.

— W porządku — mówi wreszcie. — Pójdę naprzód. Ale przyrzeknij, że nie zostaniesz tu długo.

— Oczywiście, że nie pozostanę długo.

Odwraca się i odchodzi. Dr Poole patrzy za nią, po czym z westchnieniem ulgi, że oto nareszcie został sam, zabiera się znów do kopania.

NARRATOR

— Nigdy — powtarza do siebie samego. — Nigdy! Cokolwiek by Matka miała na to powiedzieć! — Gdyż jakkolwiek ma on wielkie uznanie dla panny Hook jako botaniczki, polega na niej jako na organizatorze i podziwia ją jako wysoce rozumną osobę, sama myśl, iż mógłby stanowić z nią jedną fizyczną całość, wydaje mu się równie niemożliwa, jak na przykład pogwałcenie Imperatywu Kategorycznego.

Nagle z tyłu wynurzają się bezszelestnie spomiędzy ruin rozwalonego domu trzy indywidua o nikczemnym wyglądzie, brodate, brudne i obszarpane. Stoją przez chwilę bez ruchu, po czym rzucają się raptownie na nic nie podejrzewającego botanika i zanim zdołał on krzyknąć, wpychają mu w usta knebel, wiążą ręce za plecami i wciągają do niewidocznego z daleka otworu kanalizacyjnego.

Na ekranie pojawia się panorama południowej Kali-

fornii, widziana ze stratosfery, z wysokości 50 mil. Podczas gdy kamera szybuje w dół, słyszymy głos Narratora:

Ocean i obłoki, góry zielonkawozłote,
Doliny o barwie ciemnego indygo,
Lwia żółtość wyschniętych, pustynnych równin,
Kamieniste potoki i biały piasek.
I w środku tego — Miasto Aniołów.
Pół miliona domów,
Pięć tysięcy mil ulic,
Półtora miliona mechanicznych pojazdów,
I więcej wyrobów gumowych niż w Akron
Więcej celuloиду niż mają Sowieci.
Więcej nylonów niż w New Rochelle,
Więcej biustonoszy niż w Buffalo,
Więcej dezodorantów niż w Denver,
Więcej pomarańcz niż gdziekolwiek indziej,
I rośniejsze i ładniejsze dziewczęta —
Oto Wielka Metropolia Zachodu.

A teraz już jesteśmy na wysokości zaledwie 5 mil, i z każdą chwilą staje się coraz bardziej widoczne, iż owa Wielka Metropolia jest miastem duchów, że to, co było kiedyś największą oazą świata, jest teraz największym zbiorowiskiem ruin na spustoszonych terenach. Ulice są wymarłe. Piasek naniesiony z wydm pustynnych przysypał betonowe budowle. Z pięknych alei wysadzanych palmami i drzewami pieprzowymi nie pozostało ani śladu. Obiektyw pokazuje wielki cmentarz o kształcie prostokąta, leżący pomiędzy żelbetonowymi wieżami Hollywoodu a Wilshire Boulevard. Lądujemy, przesuwamy się pod łukowym sklepieniem bramy wejściowej, oglądamy kapliczki i grobowce. Dziecinna piramida. Gotycka strażnica. Marmurowy sarkofag otoczony płaczącymi serafinami. Nadnaturalnej wielkości posąg Heddy Boddy — „powszechnie uwielbianej” — jak głosi napis umieszczony na cokole, jako „ulubienica publiczności numer jeden”.

Nagle spostrzegamy na tym cichym odludziu kilkusobową grupkę. Czterech brodatych i więcej niż brudnych

mężczyzn, i dwie młode kobiety: wszyscy z łopatami, zajęci rozkopywaniem grobu, wszyscy jednakowo ubrani w postrzępione koszule i spodnie ze zgrzebnego samodziału. Wszyscy mają na sobie ponadto małe kwadratowe fartuchy, a na każdym z nich widnieje wyszyte szkarłatną wełną słowo „NIE”. Poza fartuchami dziewczęta mają naszyte nad każdą piersią okrągłe łaty i takie same, nieco tylko większe naszywki z tyłu na spodniach. Gdy zbliżają się ku nam, witają nas równocześnie trzy znaki zakazu. Dwa dodatkowe widać na siedzeniach, gdy odchodzą.

Na sklepieniu sąsiedniego mauzoleum siedzi, nadzorując robotników, wysoki i potężnie zbudowany mężczyzna około czterdziestki, o ciemnych oczach i orlim nosie algierskiego korsarza. Czarna, falista broda podkreśla jeszcze bardziej wilgotność i czerwień jego pełnych warg. Jest ubrany (co nie bardzo pasuje) w jasnopolielaty, cokolwiek za ciasny garnitur o kroju modnym w połowie dwudziestego wieku. W chwili, gdy go spostrzegamy, jest akurat zajęty obcinaniem paznokci.

Ponownie zdjęcie robotników rozkopujących groby. Jeden z nich, najmłodszy i najprzystojniejszy, spogląda ukradkiem sponad łopaty na siedzącego na dachu Szefa i widząc, że jest zajęty paznokciami, kieruje niezwykle pożądlive spojrzenie w stronę stojącej przed nim i opartej na łopacie masywnej dziewczyny. Zbliżenie dwóch ostrzegawczych naszywek. NIE i znów NIE, rosnące coraz bardziej i coraz większe, im chłopak dłużej przygląda się dziewczynie. Upojony rozkoszą wyimaginowanego kontaktu wyciąga rękę, drży, waha się i nagle pod wpływem raptownego przyływu świadomości, która przewycięża pokusę, cofa ją gwałtownie. Zagryzając wargi, odwraca się i ze zdwojoną gorliwością oddaje się znów czynności kopania.

Nagle łopata uderza o coś twardego. Słysząc okrzyk radości połączony z gwałtownym wysiłkiem gorączkowego kopania. W chwilę po tym zostaje wyciągnięta na powierzchnię ziemi zgrabna trumna z ciemnego mahoni.

- Rozbić ją.
- O.K., Szefie.

Słysząc skrzypienie i trzask rozłupywanego drewna.

– Mężczyzna czy kobieta?

– Mężczyzna.

– Doskonale! Wywalić go.

Pokrzykując „hej – do góry – hoop”, przechylają trumnę i ciało stacza się na piasek. Najstarszy z brodatych kopaczy przyklęka przy nim i rozpoczyna metodycznie obdzierać je z zegarka i biżuterii.

NARRATOR

Dzięki suchemu klimatowi oraz sztuce balsamowania, to co pozostało po dyrektorze eksploatacyjnym browarów *Golden Rule Brewing Corporation* wygląda tak, jakby został on pogrzebany zaledwie wczoraj. Policzki są nadal jeszcze rumiane, a to dzięki różowi zaaplikowanemu mu przez przedsiębiorcę pogrzebowego przed ostatecznym udaniem się na wieczny spoczynek. Uniesione lekko w górę kąciki ust, ułożone w kształt trwającego wiecznie uśmiechu, nadają okrągłej jak bułka twarzy fascynująco zagadkową ekspresję Madonny Boltraffia.

Nagle uderzenie pejcza spada na grzbiet klęczącego kopacza. Kamera cofa się, ukazując groźnego Szefa z nahajką w ręku, wyglądającego z wysokości marmurowej góry Sinai niczym wcielenie boskiej zemsty.

– Oddaj ten pierścień.

– Jaki pierścień? – jęczy człowiek.

Zamiast odpowiedzi Szef wymierza kilka dalszych uderzeń nahajką.

– Nie, nie – błagam! Ouu! Oddam go. Dostyc!

Winowajca wkłada dwa palce do ust i po chwili grzebania wyciąga piękny pierścień z brylantami, który zmarły właściciel browarów kupił w czasie drugiej wojny światowej, kiedy to interesy rozwijały się tak wspaniale.

– Połóż to tam, razem z innymi rzeczami – rozkazuje Szef.

Podczas gdy człowiek spełnia jego rozkaz, dodaje z ponurym zadowoleniem:

– Dwadzieścia pięć batów, oto co cię czeka dziś wieczorem.

Mężczyzna szlochając błaga o przebaczenie: – To tylko ten raz! Jutro jest Dzień Beliala... A poza tym, jestem już stary i pracowałem wiernie przez całe życie, i osiągnąłem rangę inspektora nadzoru...

Szef przerywa mu krótko.

– Tu jest demokracja – mówi. – Wszyscy jesteśmy równi wobec prawa. A prawo mówi, że wszystko należy do proletariatu – innymi słowy – do państwa. A jaka jest kara za okradanie państwa? – Człowiek spogląda w górę w żalnym milczeniu. – Jaka jest kara? – ryczy Szef podnosząc nahajkę.

– Dwadzieścia pięć batów – brzmi ledwie słyszalna odpowiedź.

– Dobrze! Więc tak będzie sprawiedliwie, prawda? A teraz – jak tam wygląda ubranie?

Młodsza i zgrabniejsza spośród dziewcząt pochyła się nad zwłokami i zaczyna badać dotykiem jakoś ciemnej dwurzędówki.

– Piękny materiał – woła. – I nie ma plam. On nie ciekł, ani w ogóle...

– Przymierzę to – decyduje Szef.

Nie bez pewnego wysiłku ściągają z trupa spodnie, marynarkę i koszulę, po czym wrzucają ciało w bieliźnię z powrotem do grobu i zasypują je ziemią. Tymczasem Szef bierze ubranie i ogląda je krytycznym okiem. Po chwili zdejmuje z siebie perłowoszarą marynarkę, która niegdyś należała do dyrektora produkcji *Western Shakespeare Pictures Inc.* i wciąga na ramiona nową zdobycz o bardziej tradycyjnym kroju, jaki preferował niegdyś wytwórca napojów słodowych marki *Golden rule*.

NARRATOR

Spróbujcie się znaleźć w jego sytuacji. Możecie tego nie wiedzieć, ale kompletna maszyna gremplarska składa się z korpusu albo małej ramy obrotowej do odwijania

przędzy oraz dwóch ram dużych i towarzyszących wrzecion, zdzieraczy, wałków, grzebieni itp.

I jeśli nie macie ani maszyny gremplarskiej, ani krosien mechanicznych, jeśli nie macie żadnego silnika elektrycznego, który by mógł je uruchomić, ani żadnego dynamo do wytwarzania prądu, ani turbiny, która by poruszała dynamo, ani węgla do wytworzenia pary, ani pieców hutniczych dla wytopienia stali — no cóż, to jest jasne, że pragnąc mieć przyzwoite ubrania, musicie zdać się na przeszukiwanie cmentarzy tych, którzy dawniej korzystali z tych dobrodziejstw. A przecież w okresie trwania radioaktywności nie można było nawet marzyć o eksploataowaniu cmentarzy. Trzy generacje tych nielicznych, którzy przeżyli katastrofę samozagłady techniki, pędziły niepewne życie w dzikości. Mija zaledwie 30 lat od chwili, gdy stało się możliwe i bezpieczne zakosztowanie owych po-grzebanych szczątek *le conforte moderne*.

Zbliżenie — kamera na Szefa. Wygląda groteskowo w marynarce pożyczonej od człowieka, którego ramiona były znacznie krótsze, a brzuch znacznie większy. Na odgłos zbliżających się kroków odwraca głowę.

W szerokim planie zdjęciowym widzimy dr. Poole'a ze związanymi z tyłu rękami, brnącego z trudem przez piach. Za nim kroczy trzech mężczyzn, którzy go schwytali. Gdy tylko potyka się lub zwalnia kroku, kłują go w siedzenie ostrymi niby szpilki liśćmi juki i zaśmiewają się hałaśliwie na widok tego, jak się wstrząsa.

Szef przygląda im się milcząco, ale z narastającym zdziwieniem.

— Cóż to ma być, na Beliala? — odzywa się w końcu.

Grupka zatrzymuje się u stóp mauzoleum. Trzech członków eskorty doktora Poole'a oddaje Szefowi pokłon i zaczynają opowiadać całą historię. Łowili właśnie ryby ze swej łodzi, mniej więcej koło Redondo Beach; nagle spostrzegli wielki dziwny statek wyłaniający się zza mgły, powiosłowali więc natychmiast z powrotem ku brzegowi, aby się ukryć. Z ruin starego domu obserwowali lądowanie obcych przybyszów. Było ich trzynastu. A potem ten mężczyzna, spacerując z kobietą, zbliżył się, aż do same-

go progu ich kryjówki. Potem kobieta odeszła i kiedy mężczyzna zajął się kopaniem w ziemi, oni skoczyli na niego od tyłu, zakneblowali mu usta, związali i przyprawdzili tutaj na badanie.

Następuje długa cisza, przzerwana w końcu przez Szefa.

– Czy mówisz po angielsku?

– Tak, mówię po angielsku – jękając się potwierdza dr Poole.

– Dobrze. Rozwiązać go i podnieść.

Dr Poole zostaje podniesiony tak bezceremonialnie, iż ląduje u stóp Szefa na czworakach.

– Jesteś księdzem?

– Księdzem? – powtarza ze zdziwieniem i niczym echo dr Poole. Potrząsa przecząco głową.

– No to dlaczego nie masz brody?

– Ja... ja się golę.

– Aha, to znaczy, że ty nie jesteś... – Szef przesuwając palec po podbródku i policzku dr. Poole'a. – Rozumiem, rozumiem. Wstań.

Dr Poole posłusznie wstaje.

– Skąd przybyliście?

– Z Nowej Zelandii, sir.

Dr Poole przełyka z trudem; chciałby, żeby jego usta nie były tak suche, a głos mniej drżący ze strachu.

– Nowa Zelandia? Czy to daleko?

– Bardzo daleko.

– Przybyliście dużym okrętem? Takim z żaglami?

Dr Poole potakuje i przybierając ową manierę lektora, która stawiała się zawsze jego ucieczką, gdy zachodziła obawa, że kontakt osobisty będzie niełatwy, zaczyna wyjaśniać, dlaczego nie mogli przebyć Pacyfiku statkiem parowym.

– Nie byłoby gdzie uzupełniać zapasów paliwa. Tylko w obrębie żeglugi przybrzeżnej nasze kompanie okrętowe mogą używać parowców.

– Parowców? – powtarza Szef z wyrazem zainteresowania na twarzy. To wy macie jeszcze parowce? Ależ to oznaczałoby, że u was nie było tej rzeczy?

Dr Poole spogląda na niego, nie rozumiejąc o co chodzi.

— Nie bardzo pana zrozumiałem — mówi. Jakiej rzeczy?

— Tej rzeczy. No wiesz... — kiedy On zwyciężył.

Podnosząc ręce do czoła robi rozczapierzonymi palcami znak rogów. Jego poddani gorliwie go naśladują.

— Pan ma na myśli Diabła? — pyta z wahaniem dr Poole.

Szef potakuje.

— Ależ, ależ... ja myślę, że naprawdę...

NARRATOR

Nasz przyjaciel jest dobrym kongregacjonalistą, lecz niestety o zabarwieniu liberalnym. Co oznacza, iż nigdy nie przydawał księciu tego świata należnych Mu cech ontologicznych. Mówiąc zaś brutalnie i wprost: nie wierzył w Niego.

— Tak, On zdobył władzę — wyjaśnia Szef. — Wygrał bitwę i wziął wszystko w posiadanie. To stało się wtedy, kiedy ludzie zrobili to, co widzisz.

Szerokim, zagarniającym gestem obejmuje cały ów obszar spustoszenia, który niegdyś nazywał się Los Angeles. Twarz dr Poole'a rozjaśnia się w błysku zrozumienia.

— Aha, rozumiem! Pan mówi o trzeciej wojnie światowej. Nie, myśmy mieli szczęście i wyszliśmy z tego bez draśnięcia. Dzięki swemu szczególnemu położeniu geograficznemu — dodaje profesorskim tonem — Nowa Zelandia nie posiadała żadnego strategicznego znaczenia dla...

Szef krótko ucina ów nader obiecujący wykład.

— Więc wy nadal macie koleje? — pyta.

— Tak, nadal mamy koleje — odpowiada dr Poole nieco podrażnionym głosem. — Ale, jak mówiłem...

— I maszyny naprawdę pracują?

— Oczywiście, że pracują. Jak mówiłem...

Szef wydaje nagły okrzyk zachwytu i klepie go po ramieniu.

— To znaczy, że możecie pomóc nam w uruchomie-

niu tego wszystkiego z powrotem. Jak za dawnych, dobrych dni przed... — Robi znak rogów. — Będziemy mieli pociągi, prawdziwe pociągi. — I w radosnym podnieceniu przyciąga ku sobie dr. Poole'a, obejmuje ramieniem za szyję i całuje w oba policzki.

Uchylając się z zażenowaniem, spotęgowanym jeszcze przez obrzydzenie (gdyż wielki człowiek mył się rzadko i twarz miał przeraźliwie brudną), dr Poole próbuje się wycofywać.

— Ależ ja nie jestem inżynierem — protestuje. — Jestem botanikiem.

— Co to jest?

— Botanik jest to człowiek, który zna się na roślinach.

— Wojennych roślinach? — pyta z nadzieją w głosie Szeff.

— Nie, nie, po prostu na roślinach. Na tym co ma liście, łodygi i kwiaty, jakkolwiek, naturalnie — dodaje z pośpiechem — nie należy zapominać o zarodnikowych. A prawdę powiedziawszy, rośliny zarodnikowe są moją specjalnością. Nowa Zelandia, jak pan zapewne wie, szczególnie obfituje w rośliny bezkwiatowe...

— No, ale co z maszynami?

— Maszyny? — powtarza z odcieniem wzgardy w głosie dr Poole. — Muszę się panu przyznać, że nie odróżniam turbiny parowej od diesla.

— To znaczy, że nie możesz nic zrobić, aby nam pomóc w uruchomieniu z powrotem pociągów?

— Nic a nic.

Szeff bez słowa podnosi swą prawą nogę, umieszcza stopę dokładnie na wysokości żołądka doktora Poole'a, po czym raptownie wyprostowuje zgięte kolano.

Najazd kamery na dr. Poole'a w momencie, kiedy podnosi się z ziemi, wstrząśnięty i posiniaczony, na szczęście bez połamanych kości. Jednocześnie słyszymy, jak Szeff woła mężczyzn, którzy go schwytali.

W ogólnym planie ukazani zostają kopacze i rybacy, biegnący pędem na wezwanie.

Szeff wskazuje na dr. Poole'a.

– Pogrzebać go.

– Żywego czy martwego? – zapytuje dźwięcznym kontraltem, wyróżniająca się ciężką, przysadzistą budową dziewczyna.

Szef rzuca na nią obojętne spojrzenie. Kamera w kontrplanie. Z wysiłkiem odwraca głowę. Jego wargi poruszają się. Powtarza odnośny ustęp z krótkiego katechizmu. „Jaka jest natura kobiety? Odpowiedź: kobieta jest naczyniem Nieczystego Ducha, źródłem wszelkich zniekształceń, wrogiem rasy, jest...”

– Żywem czy umarłego? – powtarza tęga dziewczyna.

Szef wzrusza ramionami.

– Jak chcecie – odpowiada ze sztuczną obojętnością.

Gruba dziewczyna klaszcze w dłonie.

– O łaskawy! – wykrzykuje i zwraca się do swych towarzyszy – Chodźcie, chłopcy. Zabawimy się trochę.

Otoczają dr. Poole’a, podnoszą go krzyczącego do góry i wrzucają stopami w dół do na wpół zasypanego grobu generalnego dyrektora Golden Rule Brewing Corporation. Podczas gdy tęga dziewczyna przytrzymuje go w dole, mężczyźni zgarniają łopatami do grobu sypką, suchą ziemię. W ciągu paru sekund zostaje zakopany po pas.

Podkład dźwiękowy rejestruje wrzaski ofiary i pełen podniecenia śmiech oprawców. Odgłosy są coraz to słabsze i nikną wreszcie w ciszy, którą przerywa głos Narratora.

NARRATOR

O okrucieństwie i o litości decydują chromosomy;
Wszyscy ludzie są miłośnikami i wszyscy są mordercami.

Kochają pieski i budują obozy w Dachau;
Palą całe miasta, ale pieczą sieroty;
Protestują przeciw linczom, ale popierają Oakridge;
Pełni filantropii na przyszłość, ale dziś w
NKWD.

Kogo mamy prześladować, nad kim się litować?
Wszystko to kwestią obyczaju chwili,
Kwestią słów na papierze gazet
I tych dudniących w eterze,
Komunistycznych ochronek lub pierwszych ko-
munii.

Jedynie przez poznanie swej własnej istoty
Może człowiek nie zostać tylko małpą.

Znów słysząc śmiechy i błagania o litość, po czym na-
gle dochodzi głos Szefa.

— Odstąpcie! — krzyczy. — Nic nie widzę.

Cizba rozstępuje się posłusznie. Szef spogląda w mil-
czeniu na dr. Poole'a.

— Znasz się na wszystkich roślinach — odzywa się
wreszcie. — Dlaczego więc nie wyrastają ci korzenie tam
w dole?

Drwina zostaje przyjęta salwami śmiechu.

— Więc dlaczego nie wypuszczasz jakichś ładnych,
małych, różowych kwiatków?

Na zbliżeniu pojawia się udręczona twarz botanisty.

— Łaski, łaski...

Głos załamuje się groteskowo. Słysząc nowe wybuchy
wesołości. — Mógłbym być dla was użyteczny. Mógłbym
wam pokazać, jak się osiąga lepsze zbiory. Mielibyście
więcej jedzenia.

— Więcej jedzenia? — powtarza Szef z nagłym zain-
teresowaniem. Wreszcie wykrzywia twarz dzikim gryma-
sem. — Kłamiesz!

— Nie kłamię. Przysięgam na Boga Wszchemogącego.

Daje się słyszeć szemranie pełne oburzenia.

— Jest on może wszchemogący w Nowej Zelandii —
odpowiada Szef — ale nie tutaj. Przynajmniej od czasu,
kiedy ta rzecz się zdarzyła.

— Ależ ja wiem z całą pewnością, że potrafię wam
pomóc.

— Czy jesteś gotów przysiąc na Beliala?

Ojciec dr. Poole'a był pastorem, a on sam zwykł regu-

larnie chodzić do kościoła, jednak teraz spełnia ze szczerym zapalem to, czego od niego ządaja.

— Na Beliala! Przysięgam na Wszehmocnego Beliala.

Wszyscy robią znaki rogów. Następuje długa cisza.

— Wykopać go!

— Och, Szefie! — protestuje tęga dziewczyna. — To nie jest fair!

— Wykopuj go, ty naczynie nieczystości!

Ton jego głosu odnosi natychmiastowy skutek; wszyscy kopią z takim zapalem, że w ciągu niecałej minuty dr Poole wynurza się z grobu i staje trochę niepewnie u stóp mauzoleum.

Zdobywa się jeszcze, by powiedzieć „dziękuję”, po czym kolana odmawiają mu posłuszeństwa i pada. Towarzyszy temu seria śmiechów, w których brzmi jednocześnie nuta pogardy i rozbawienia. Szef unosi się z marmurowego siedzenia.

— Hej ty tam, rudowłose naczynie, tutaj do mnie. — Wręcza dziewczynie butelkę. — Daj mu się tego trochę napić — rozkazuje. — Musi mieć siłę iść. Wracamy do kwatery głównej.

Dziewczyna siada obok dr. Poole'a, dźwiga jego zwiotczale ciało, wbrew zakazowi opiera chwiejącą się głowę o swe piersi i aplikuje mu porcję środka na wzmocnienie.

Przenosimy się na ulicę. Czterech brodatych mężczyzn niesie Szefa w lektyce. Reszta pozostaje nieco z tyłu, brnąc powoli przez naniesiony piasek. Tu i ówdzie pod sklepieniami rozwalonych stacji benzynowych i u wejścia do budynków biurowych leżą sterty ludzkich kości.

Półzblizenie. Dr Poole nadal trzyma w prawej ręce butelkę i kroczy nieco chwiejnie, podśpiewując z głębokim uczuciem piosenkę o Annie Laurie. Mocno czerwone wino pite na czczo, na pusty żołądek zrobiło swoje. Tym bardziej, iż był to pusty żołądek człowieka, którego matka miała zawsze wrogi stosunek do alkoholu.

*And for bonny Annie Laurie
I'd lay me doon and dee...*

W połowie ostatniej zwrotki pojawiają się na ekranie dwie dziewczyny z ekipy kopaczy cementarnych. Przysadzista i gruba zbliża się od tyłu do śpiewaka, obdarza go przyjacielskim klepieniem w plecy. Dr Poole odwraca się gwałtownie, trzeźwieje momentalnie. Ale jaj uśmiech działa uspokajająco.

— Jestem Flossie — odzywa się. — Mam nadzieję, że pan nie ma do mnie pretensji o to, że chciałam pana pogrzebać?

— Ach nie, nie, ani trochę — zapewnia ją dr Poole tonem takim samym, jakby go pytała młoda dama, czy może zapalić papierosa.

— To nie dlatego, żebym miała coś przeciwko panu — zapewnia go z kolei Flossie.

— Oczywiście, że nie.

— Po prostu miałam ochotę się pośmiać i to wszystko.

— Naturalnie, naturalnie.

— Bo ludzie wyglądają tak ogromnie zabawnie, kiedy się ich grzebie.

— Ogromnie zabawnie — zgadza się dr Poole i śmieje się nerwowo.

Wzmacnia się ponownym łykiem z butelki dla dodania sobie odwagi.

— No, to do zobaczenia — mówi przysadzista dziewczyna. — Muszę iść i pogadać z Szefem na temat podłużenia rękawów w jego nowej marynarce.

Aplikuje mu jeszcze jedno klepienie w plecy i odchodzi różnym krokiem. Dr Poole pozostaje sam na sam z jej towarzyszką. Zerka na nią ukradkiem. Dziewczyna ma osiemnaście lat, rude włosy i dołki w policzkach, uroczą twarzyczkę i smukłe, młodzieńcze ciało.

— Nazywam się Loola — oświadcza pierwsza. — A jak pan ma na imię?

— Alfred — odpowiada dr Poole. — Moja matka była wielbicielką powieści *In memoriam* dodaje tonem wyjaśnienia.

— Alfred... — powtarza rudowłosa dziewczyna. — Bę-

dę pana nazywać Alfem. Coś panu powiem, Alfie, ja naprawdę nie lubię tego publicznego grzebania. Nie wiem dlaczego, ale jestem jakaś inna niż ci ludzie i wcale mnie to nie śmieszy. Nie potrafię w tym dostrzec nic zabawnego.

— Cieszę się, że pani tak uważa — mówi dr Poole.

— Wiesz co, Alfie — podejmuje dziewczyna po chwili milczenia — ty jesteś naprawdę bardzo szczęśliwym człowiekiem.

— Szczęśliwym?

Loola potakuje.

— Po pierwsze zostałeś wykopany z powrotem — a ja nie widziałam nigdy przedtem, żeby się to komuś innemu udało — a teraz idziesz od razu wziąć udział w Ceremonii Oczyszczenia.

— Ceremonii Oczyszczenia?

— Tak, jutro jest Dzień Beliala. No, Dzień Beliala — powtarza, widząc zdziwienie i kompletne niezrozumienie, malujące się na twarzy doktora. — Tylko niech mi pan nie mówi, że nie wie, co się dzieje w Wigilię Beliala!

Dr Poole potrząsa głową.

— No to kiedy wy macie swoje Oczyszczenie?

— My bierzemy kąpiel codziennie — odpowiada dr Poole i uświadamia sobie znów nagle, że Loola z całą pewnością co dzień się nie kąpie.

— Nie, nie — mówi z niecierpliwością — ja mówię o Oczyszczeniu Rasy.

— Rasy?

— No przecież chyba wasi księża nie pozwalają żyć dzieciom, które urodziły się kalekie?

Następuje cisza. Wreszcie dr Poole przerywa ją pytaniem.

— Czy tu się rodzi dużo zdeformowanych dzieci?

Loola potwierdza skinieniem głowy.

— Odkąd tylko ta rzecz się stała; odkąd On rządzi. Robi palcami znak rogów. — Mówią, że przedtem takie w ogóle się nie rodziły.

— Czy ktoś opowiadał pani może kiedyś o działaniu promieni gamma?

— Promieni gamma? Co to są promienie gamma?

— To jest właśnie przyczyna tych wszystkich zniekształceń u dzieci.

— Nie będziesz chyba próbował wmówić mi, że to nie Belial? Jej ton stał się podejrzliwie niechętny; patrzy na niego tak, jak święty Dominik mógłby spoglądać na heretyka z sekty Albigensów.

— Nie, nie, oczywiście, że nie — dr Poole zapewnia ją pośpiesznie. — On jest pierwszą przyczyną. To się samo przez się rozumie. — Niezgrabnie i bez doświadczenia robi znak rogów. — Ja tylko chciałem wyjaśnić naturę wtórnych przyczyn, środków jakich On użył, by przeprowadzić... by osiągnąć swój opatrnościowy cel, jeżeli rozumiesz, co chcę powiedzieć.

Jego słowa, a przede wszystkim jego pobożne gesty usypiają czujność Looli. Twarz jej rozpogadza się, obdarcza go swym najbardziej czarującym uśmiechem. Dołeczki na jej policzkach poruszają się niczym para rozkosznych małych stworzonek, prowadzących tajemniczą i autonomiczną egzystencję, niezależną od reszty twarzy. Dr Poole odwzajemnia się jej uśmiechem, lecz niemal w tej samej chwili odwraca wzrok i czerwieni się aż po korzonki włosów.

NARRATOR

Przez nadmiar szacunku do Matki, nasz biedny przyjaciel w trzydziestym ósmym roku życia jest nadal kawalerem. Nazbyt pełen nienaturalnej cnotliwości, aby odważyć się na małżeństwo, spędził połowę życia spalając się w ukryciu. Uważając, iż byłoby świętokradztwem poprosić cnotliwą młodą kobietę z dobrego domu, aby dzieliła z nim łóżko, przebywał, mimo przywdzianej na siebie skorupy akademickiej stateczności, w świecie uczuć gorących i ukradkowych, w świecie, w którym erotyczna wyobraźnia rodziła udręki skruchy i wstydu, a młodzieńcze pożądania walczyły nieustannie z macierzyńskimi przykazaniami. Ale oto pojawiła się Loola — Loola bez najmniejszych pretensji do wykształcenia czy dobrego wychowania, Loola *au naturel*, o mocnym zapachu piżma, który w

swym wtórnym działaniu ma w sobie coś naprawdę przyciągającego. Cóż więc dziwnego, że rumieni się i odwraca oczy (jakkolwiek czyni to wbrew woli, gdyż ma właśnie wielką ochotę na nią patrzeć. Dla pocieszenia i w nadziei, że uda mu się ośmielić, sięga znów po butelkę.

Bulwar raptownie zwęża się do rozmiarów ścieżki pomiędzy dwiema wydmami piachu.

Dr Poole z grzecznym ukłonem przepuszcza Loolę pierwszą. Galanteria, do której zupełnie nie przywykła w miejscu, gdzie mężczyźni mają pierwszeństwo, a naczynia Nieczystego Ducha pstępują z tyłu, wywołuje uśmiech na jej twarzy.

Obraz pleców Looli widzianych oczyma dr Poole'a. NIE, NIE, NIE, NIE, NIE, NIE, krok po kroku, w falującym ruchu. Szybka zmiana, zbliżenie na dr. Poole'a wpatzonego szeroko otwartymi oczyma, i znów kamera przenosi się z twarzy dr. Poole'a na plecy Looli.

NARRATOR

Oto jest symbol uzewnętrzniony, widzialny, dotykalny symbol jego najgłębszej świadomości. Nieustający konflikt zasad i pożądań: jego Matka oraz Szóste Przykazanie jako elementy nakładające się na marzenia i na fakty cielesne.

Wydmy piaszczyste kończą się, droga znów staje się dość szeroka dla dwojga idących obok siebie ludzi. Dr Poole rzuca ukradkowe spojrzenie na twarz swej towarzyski. Dostrzega jak gdyby wyraz melancholii.

— Co to? — zapytuje troskliwie i zdobywając się na wielką śmiałość, dodaje — Loola. Kładzie rękę na jej ramieniu.

— To jest okropne — mówi tonem cichej rozpaczki dziewczyna.

— Co jest okropne?

— Wszystko. Nie chcesz myśleć o tych rzeczach, ale cóż, kiedy jesteś właśnie jednym z tych nieszczęsnych ludzi, którzy o tym przestać myśleć nie potrafią. Po prostu wariujesz od tego. Myślisz i myślisz o kimś, wciąż prag-

niesz i pragniesz. A wiesz, że nie wolno. I jesteś przerażony śmiertelnie na samą myśl, co oni zrobią, jeśli to wykryją. Ale oddałbyś wszystko na tym świecie za jedne pięć minut, żeby tylko przez pięć minut być wolnym. Lecz nie, nie, nie. I zaciskasz pięści i opanowujesz się, i czujesz, jakbyś był darty na sztuki. I wreszcie, nagle, po całym tym cierpieniu, nagle... — Loola przerywa.

— Nagle co? — dopytuje się dr Poole.

Spogląda na niego ostro, ale dostrzga na jego twarzy tylko wyraz ciekawości i szczerze niewinnej nieświadomości.

— Nie mogę cię rozgryść — mówi wreszcie. — Czy to prawda, co powiedziałeś Szełowi? No, wiesz... o tym, że nie jesteś księdzem...

Nagle Loola czerwieni się.

— Jeśli mi nie wierzysz — mówi dr Poole z galanterią podsyconą winem — jestem gotów tego dowieść.

Loola spoglądała na niego przez chwilę, po czym potrząsa głową i odwraca się ze strachem. Nerwowo wygładza fartuch.

— Ale dotychczas — ciągnie dr Poole, ośmielony jej nieśmiałością — nie powiedziałaś mi właściwie, czym jest to coś, co się nagle staje.

Loola rozgląda się naokoło, aby upewnić się, czy nie ma nikogo, kto mógłby usłyszeć, po czym zaczyna mówić niemal szeptem:

— Nagle On zaczyna wszystkich opętywać. Najpierw każe całymi tygodniami myśleć o tych rzeczach, a to jest przeciw Prawu, to jest wyklęte. Mężczyźni stają się tacy szaleni, że zaczynają cię bić i nazywać naczyniem, zupełnie tak, jak to robią kapłani.

— Naczyniem?

— Tak, naczyniem Nieczystego Ducha.

— Aha, rozumiem.

— I w końcu przychodzi Dzień Beliala — ciągnie Loola po chwili przerwy. — I wtedy... no wiesz, co to znaczy. A potem, jeśli ma się dziecko, On karze za to, co kazał uczynić.

Loola wzdryga się, po czym robi znak rogów. — Ja

wiem, że muszę pogodzić się z tym, czego On żąda, ale... mam jednak nadzieję, że jeśli będę miała kiedykolwiek dzieci, będą one normalne.

— Ależ oczywiście, że będą normalne, przecież ty jesteś zupełnie w porządku — wykrzykuje dr Poole. Rozkoszując się swoją śmiałością przygląda się jej długo. Zbliżenie kamery. Kontrplan. NIE NIE NIE, NIE NIE NIE...

Loola żałośnie potrząsa głową. — Otóż tu właśnie nie masz racji. Mam dodatkową parę sutek.

— Ooo... — wrywa się doktorowi Poole. Intonacja jego głosu wskazuje, iż nagła myśl o matce momentalnie zagłuszyła działanie czerwonego wina.

— Nie żeby to było coś naprawdę złego — dodaje Loola pośpiesznie. — To się zdarza nawet najprzystojniejszym ludziom. To jest najzupełniej legalne. Oni pozwalają mieć do trzech par. I do siedmiu palców u rąk i nóg. Wszystko ponad ten limit ulega likwidacji przez Oczyszczenie. Moja przyjaciółka Polly miała dziecko w tym sezonie. Jej pierwsze dziecko. I urodziło się z czterema parami sutek i bez kciuków. Takie nie mają żadnych szans. I oczywiście zostało ono już skazane. A jej ogolono głowę.

— Ogolono jej głowę?

— Tak, robią to wszystkim dziewczętom, których dzieci podlegają likwidacji.

— Ależ dlaczego?!

Loola wzruszyła ramionami.

— Właśnie dlatego, by im przypomnieć, iż On jest nieprzyjacielem.

NARRATOR

— Aby to wyłożyć — jak się wyraził Schroedinger — drastycznie, jakkolwiek może i nieco naiwnie, szkodliwość małżeństwa między stryjecznym rodzeństwem może poważnie wzrosnąć, jeśli ewentualnie przykładowo ich babka pracowała przez dłuższy czas jako pielęgniarka na oddziale radiologicznym. Nie jest to kwestia, która miałaby

kogoś osobiście martwić, jednakże wszelka możliwość stopniowego skażenia rasy ludzkiej niepożądanymi, utajonymi mutacjami winna obchodzić społeczeństwo.

Powinna obchodzić, lecz nie trzeba nawet dodawać, że nie obchodzi. Oakridge pracuje na trzy zmiany, zakłady produkcji energii atomowej na Wybrzeżu Cumberlandzkim są w pełni ruchu, a po drugiej stronie muru... Bóg tylko jeden wie, do czego doszedł Kapica na szczycie góry Ararat; jakie jeszcze niespodzianki ma w zanadrzu owa przedziwna, tak lirycznie przez Dostojewskiego opiewana rosyjska dusza, i co szykuje się rosyjskim ciałom oraz ścierwom kapitalistów i socjaldemokratów.

Znowu piasek zalega drogę. Oboje wkraczają na krętą wijącą się między wydmami ścieżkę i nagle znajdują się samotnie jakby na środku Sahary. Kamera z punktu widzenia doktora Poole'a rejestruje ostrzegawcze NIE NIE, NIE NIE... Loola zatrzymuje się i odwraca w jego stronę. Znowu NIE, NIE, NIE. Obiektów przesuwają się ku jej twarzy i w tym momencie widać na niej wyraz tragizmu.

NARRATOR

Szóste Przykazanie i Realne Fakty. Lecz istnieje jeszcze inny Fakt, na który już nie można reagować samą tylko częściową negacją, czy też nie mniej fragmentarycznym wybuchem pożądania. Jest to Fakt Osobowości.

— Ja nie chcę, żeby obcięli mi włosy — woła Loola łamiącym się głosem.

— Ależ oni tego nie zrobią.

— Zrobią.

— Oni nie mogą, nie powinni tego robić — po czym zdumiony własną śmiałością dodaje — są zbyt piękne.

Nadal tragiczna, Loola potrząsa przecząco głową.

— Ja to czuję w kościach — odpowiada. — Już wiem, że dziecko będzie miało więcej niż siedem palców. Oni je zabijają, mnie obetną włosy, będą mnie chłostać — i to On każe nam robić te rzeczy.

— Jakie rzeczy?

Loola spogląda na niego przez chwilę w milczeniu,

wreszcie spuszcza oczy, w których maluje się wyraz niemal przerażenia.

— A tak jest dlatego, że On chce, żebyśmy byli nie-szczęśliwi.

I zakrywając twarz dłońmi, dziewczyna wybucha nie-pohamowanym szlochem.

NARRATOR

Wino, z którego pomocą, ale i bez niego, odurza niczym piżmo gorących bliskość, krągłych i dojrzałych, i przecież przeznaczonych do spożycia Faktów Rzeczywistych... A teraz jej łzy, jej łzy...

Dr Poole bierze dziewczynę w ramiona i podczas gdy ona łka na jego piersi, on gładzi jej włosy z ową typową czułością normalnego mężczyzny, w którego tak gwałtownie się zmienił.

— Nie płacz — szepce — nie płacz. Wszystko będzie dobrze. Będę zawsze przy tobie. I nie pozwolę im nic ci zrobić.

Loola pozwala się stopniowo uspokajać. Łkanie staje się coraz mniej gwałtowne i wreszcie cichnie zupełnie. Podnosi głowę, a uśmiech, którym go obdarza poprzez łzy, jest tak nieodparcie miłosny, że każdy inny, tylko nie dr Poole, przyjąłby natychmiast owo zaproszenie. Sekundy mijają i podczas gdy on nadal się waha, jej twarz zmienia się. Opuszcza powieki w reakcji na owe wyznaczenie, które, jak to nagle czuje, było zbyt śmiałe. Odwraca się.

— Przepraszam — mówi cicho i zaczyna wycierać łzy pięściami umorusanymi niczym rączki dziecka.

Dr Poole wyjmuje z kieszeni chusteczkę i czule wyciera jej oczy.

— Jesteś taki słodki. Ani trochę niepodobny do innych mężczyzn tutaj. — Znow uśmiecha się do niego. Dołeczki w policzkach pojawiają się niczym para czarujących, małych, dzikich stworzonek, wyłaniających się z ukrycia.

Tak impulsywnie, że nawet nie ma czasu zdziwić się

temu, co robi, dr Poole ujmując jej twarz obiema dłońmi i całuje ją w usta.

Loola opiera się przez moment, po czym poddaje się tak zupełnie, jakby to ona chciała być bardziej aktywna.

W warstwie dźwiękowej melodia *Daj mi odprężenie...* moduluje w *Liebestod z Tristana i Izoldy*.

Nagle Loola sztywnieje i zaczyna drżeć jakby z zimna. Odpychając go od siebie rzuca dzikie spojrzenie, po czym odwraca się i spogląda ponad jego ramieniem z wyrazem twarzy przestraszonego winowajcy.

— Loola!

Próbuje ją znów przycisnąć do siebie, lecz wyrywa mu się i zaczyna uciekać wąską ścieżką.

NIE NIE, NIE NIE, NIE NIE...

Przenosimy się na róg Fifth Street i Pershing Square. Skwer ten, jak i dawniej, pełni rolę centrum życia kulturalnego miasta. Dwie kobiety czerpią wykonanymi z koźlej skóry bukłakami wodę z płytkiej studni przed gmachem Filharmonii i wlewają ją do glinianych dzbanów innych kobiet czekających w kolejce. Z drąga zawieszono między dwoma słupami latarni zwisa mięso dopiero co zarżniętego wołu. Otoczony gęstą chmurą much mężczyzna usuwa nożem wnętrzności zwierzęcia.

— Wygląda dobrze — odzywa się Szef.

Rzeźnik szczyrzy zęby i zakrwawionymi palcami czyni znak rogów na czole. Kilka metrów opodal widać miejskie piece. Szef daje znak piekarzom i ujmując z wdziękiem kawał świeżo upieczonego chleba. W czasie gdy go zajada, pojawia się dziesięciu lub dwunastu małych chłopców, zataczających się pod zbyt ciężkim jak na ich siły ładunkiem opału przyniesionym z pobliskiej Biblioteki Publicznej. Zrzucają z łoskotem ciężar na ziemię i niemal natychmiast, ponaglani kuksańcami i pokrzykiwaniem starszych, udają się w pośpiechu po dalsze naręczą. Jeden z piekarzy otwiera drzwiczki paleniska i nabierając książki szuflą wrzuca je do ognia.

Dr Poole — uczony, dr Poole — bibliofil, czuje się tym widokiem znieważony.

— Ależ to jest okropne — protestuje.

Szef śmieje się.

— Do środka wchodzi *Fenomenologia ducha*, wychodzi kukurydziany chleb. A to jest cholernie dobry chleb.

Odgryza nowy, solidny kęs.

Tymczasem dr Poole nachyla się i szybkim chwytem ocala, znajdujący się już na progu zniszczenia, uroczy, malutki tomik Sheleya.

— *Dzięki B...* — zaczyna czytać, lecz na szczęście przypomina sobie, gdzie się znajduje i opanowuje się w sam czas. Wsuwa tomik do kieszeni i odwracając się w stronę Szefa rzuca pytanie:

— Ale co z kulturą? Co ze społecznym dziedziczeniem nabytej przez ludzkość i okupionej tyloma wiekami mądrości? Co stanie się z tym wszystkim najlepszym, co zostało wymyślone i...

— Oni nie umieją czytać — odpowiada z pełnymi jedzenia ustami Szef. — Chociaż nie, to nie jest całkowita prawda. My ich wszystkich uczymy czytać to. — Wyciąga palec wskazujący. W ciasnym planie zdjęciowym widać Loolę — Loolę z dołkami na policzkach i całą resztę, również z wielkim czerwonym „NIE” na jej fartuszkach i dwoma mniejszymi „NIE” na przodzie jej koszuli.

— Oto jest całe wykształcenie książkowe, jakiego potrzebują — konkluduje Szef, po czym rzuca swoim tragarzom krótki rozkaz: — Ruszać!

Obraz lektyki zarejestrowany zostaje w momencie, gdy jest wnoszona przez wejście pozbawione drzwi do wnętrza czegoś, co było niegdyś restauracją BILTMORE'A. Tutaj, w mrocznym zaduchu, dwadzieścia lub trzydzieści kobiet w średnim wieku, młodych lub zaledwie dziewczynek, tka na prymitywnych warsztatach podobnych do tych, jakich używają Indianie w Ameryce Środkowej.

— Żadne z tych tutaj naczyń nie miało dziecka w tym sezonie — wyjaśnia Szef doktorowi Poole. Krzywi się przy tym i kiwa głową. — Jeśli nie rodzą potworków, to z kolei są bezpłodne. Co my właściwie mamy z tym poczuciem, Belial raczy wiedzieć...

Idą dalej w głąb sali, mijają grupę złożoną z trzy- i

czteroletnich dzieci pod nadzorem sędziwej kobiety o rozszczepionym podniebieniu i czternastu palcach. Zatrzymują się pod sklepieniem przejścia prowadzącego do drugiej sali jadalnej, nieco tylko mniejszej od poprzedniej.

Równolegle słyszymy chór młodziutkich głosów recytujących unisono początkowe pytanie Krótkiego Katechizmu. Pytanie: Co jest głównym celem człowieka? Odpowiedź: — Głównym celem człowieka jest służyć Belialowi, błagać go o miłosierdzie, unikać unicestwienia tak długo, jak to jest możliwe.

Zbliżenie twarzy doktora Poole'a, na której maluje się wyraz zdumienia zmieszanego ze wzrastającym przerażeniem, a potem długie, szerokie ujęcie. W pięciu rzędach, po dwanaścioro dzieci w każdym, stoi z napiętą uwagą sześćdziesięcioro chłopców i dziewczynek w wieku od 13 do 15 lat i piskliwymi głosami pąle tak szybko, jak tylko potrafi. Zwrócony do nich twarzą, siedzi na podwyższeniu mały, tusty mężczyzna, ubrany w długi kaftan z czarno-białych koźlich skór, w futrzaną czapę o sztywnym skórzanym obrzeżu z dwoma średnich rozmiarów rogami. Jego twarz, bladożółtawa i bez zarostu, lśni od potu, który nieustannie ociera kosmatym rękawem swej skórzanej sutanny.

Powrót kamery na Szefa. Nachyla się on ku doktorowi Poole i dotyka jego ramienia.

— To jest nasz najwybitniejszy znawca Wiedzy Satanicznej — szepce. — Jest on również absolutnym specem od Złośliwego magnetyzmu zwierzęcego.

W uszach nadal dźwięczy bezmyślna paplanina dzieci. Pytanie: — Jaki los jest człowiekowi przeznaczony? Odpowiedź: — Belial, ku swemu zadowoleniu, wybrał z wieczności i przeznaczył na wieczne potępienie wszystko, co teraz jest żywe.

— Dlaczego on nosi rogi? — pyta dr Poole.

— Jest Archimandrytą — wyjaśnia Szef. — Będzie niebawem uprawniony do założenia trzeciego rogu.

Kamera znów ukazuje podwyższenie.

— Doskonale — wyrokuje znawca Wiedzy Satanicznej swym piskliwym głosem, podobnym do głosu przesad-

nie zadowolonego z siebie małego chłopca. — Doskonale. — Ociera pot z czoła. — A teraz powiedzcie mi, dlaczego zasługujecie na wieczne potępienie?

Następuje chwila ciszy, po czym chóralnie, z początku nieco bezładnie, lecz potem już jednogłośnie i hałaśliwie, dzieci odpowiadają na pytanie: — Belial zdeprawował nas do głębi i uczynił przewrotnymi we wszystkich poczynaniach. Dlatego jesteśmy, z powodu tego znieprawienia, zasłużenie potępieni przez Beliala.

Nauczyciel kiwa głową potakująco.

— Taka jest niezbadana sprawiedliwość Władcy Much — oznajmia piskliwie i z namaszczeniem.

— Amen — odpowiadają dzieci. Wszyscy czynią znak rogów.

— A co z waszym obowiązkiem wobec waszego sąsiada?

— Moim obowiązkiem wobec mojego sąsiada — pada chóralna odpowiedź — jest czynić wszystko możliwe, aby przeszkodzić mu w czynieniu tego, co ja chciałbym uczynić jemu; moim obowiązkiem jest podporządkować się wszystkim moim wychowawcom, a także utrzymywać me ciało w bezwzględnej czystości, z wyjątkiem dwóch tygodni następujących po Dniu Beliala, oraz spełniać me obowiązki w ten sposób, by dostarczyć Belialowi przyjemności potępienia mnie.

— Co to jest Kościół?

— Kościół jest ciałem, którego głową jest Belial, a poddani mu ludzie są jego członkami.

— Bardzo dobrze — wyrokuje uczony, ponownie ocierając pot z twarzy. — A teraz, potrzebne jest mi młode naczynie.

Przebiega oczyma szeregi swych uczniów, po czym wskazuje palcem. — Ty tam. Trzecia z lewej, w drugim rzędzie... naczynie z żółtymi włosami. Chodź tu!

Kamera cofa się i ukazuje grupę otaczającą lektykę.

Tragarze szczerzą zęby na myśl o widowisku. Nawet pełne wargi Szefa, intensywnie czerwone, wilgotne i mięsiste, ukryte w czarnych skrętach wąsów i brody, wykrzywiają się w uśmiechu. Lecz nie widać uśmiechu na twarzy

Looli. Błada, z dłonią na ustach i szeroko otwartymi oczami, przygląda się temu, co się dzieje z przerażeniem kogoś, kto sam przechodził już przez ten rodzaj doświadczeń. Doktor Poole spogląda to na nią, to znów na ofiarę, którą właśnie widzimy wolno zbliżającą się ku podwyższeniu.

— Właż tu — piszczy dziecinny niemal głos rozkazującym tonem zdobywcy. — Stań przy mnie. Teraz odwróć się do klasy.

Dziecko robi co nakazano.

W kadrze widzimy wysoką, smukłą piętnastoletnią dziewczynkę o twarzy nordyckiej madonny. Wielkie litery NIE widnieją na fartuszkach opasujących jej biodra, także ostrzegawcze NIE czerwienią się wyszyte tuż nad jej rozkwitającymi piersiami. Doktor Wiedzy Satanicznej wskazuje na nią oskarżycielskim gestem.

— Spójrzcie na to — odzywa się, marszcząc twarz w grymasie obrzydzenia. — Czyście kiedykolwiek widzieli coś równie podburzającego? — Zwraca się do klasy. — Chłopcy — skrzeczy — każdy spośród was, który odczuwa jakiś złośliwy zwierzęcy magnetyzm, promieniujący z tego naczynia, niech podniesie rękę.

Obiektów obejmuje całą klasę. Wszyscy chłopcy bez wyjątku podnoszą ręce. Ich nieżyczliwe twarze mają wyraz owego lubieżnego zainteresowania, z jakim kiedyś prawowierni przyglądali się dręczeniu kozłów ofiarnych przez swoich pasterzy duchownych lub jeszcze surowszym karom wymierzonym heretykom, którzy zagrażali interesom Zakonu.

Kamera zwraca się znów w stronę doktora Wiedzy Satanicznej. Uczony mąż obłudnie wzdycha i kiwa głową.

— Tego się właśnie obawiałem — mówi, po czym odwraca się ku stojącej za nim na podium dziewczynce. — Teraz powiedz mi, jaka jest natura kobiety?

— Natura kobiety? — niepewnie powtarza dziecko.

— Tak, natura kobiety. Prędejj!

Dziewczynka spogląda na niego z wyrazem strachu w niebieskich oczach, następnie odwraca się. Jej twarz staje się śmiertelnie biała, wargi drżą, z trudem przetyka ślinę.

– Kobieta – zaczyna – kobieta...

Jej głos łamie się, do oczu napływają łzy; w rozpaczliwym wysiłku, by nie stracić kontroli nad sobą, zaciska pięści i przygryza wargi.

– No, dalej! – wykrzykuje piskliwie asystent, i podnosząc z ziemi wiklinową witkę uderza nią silnie po jej gołych łydkach.

– Mów dalej!

– Kobieta – zaczyna znów dziewczynka – jest to naczynie Nieczystego Ducha, źródło wszelkich deformacji, jest wro... wro... Ouuu! – wzdryga się pod kolejnym smagnięciem.

Asystent śmieje się, a razem z nim cała klasa.

– Wrogiem... – popędza.

– Och tak, wrogiem rasy, ukaranym przez Beliala i ściągającym karę na tych wszystkich, którzy przez nią ulegają Belialowi.

Następuje długa cisza.

– Właśnie – odzywa się wreszcie asystent – oto czym właśnie jesteś! Oto czym właśnie są wszystkie naczynia. A teraz idź, idź, idź! – wykrzykuje ostro, i z całą furią smaga ją raz po raz.

Krzycząc z bólu, dziecko zeskakuje z podium i biegnie z powrotem na swoje miejsce w szeregu.

Kamera filmuje Szefa. Jest wyraźnie niezadowolony, marszczy brwi.

– Całe to postępowe wychowanie – zwraca się do doktora – jest pozbawione należytej dyscypliny. Zupełnie nie rozumiem, do czego my zmierzamy! Cóż, kiedy ja byłem chłopcem, nasz stary nauczyciel zazwyczaj przywiązywał je do ławki i zabierał się do roboty z prętem brzoźowym. „Teraz cię nauczę być naczyniem” – mawiał, a po tym raz, raz, raz, aż świstało! Na Beliala, jak one wtedy wyły! Oto co ja nazywam edukacją. Tak! A tego – to mam już dosyć.

Szef wydaje tragarzom rozkaz:

– Ruszajcie, ale szybko!

Podczas gdy lektyka przesuwa się i niknie z ekranu, obiektyw zatrzymuje się na Looli, która stoi w miejscu,

wpatrzona z bolesnym współczuciem w mokrą od łez twarzyczkę i nerwowo drgające ramiona małej ofiary w drugim rzędzie.

Loola czuje na ramieniu dotyk ręki. Wstrząsa się odruchowo i odwraca błyskawicznie. Z ulgą spostrzega obok siebie uprzejmą twarz doktora Poole'a.

— Całkowicie zgadzam się z tobą — szepce jej cicho — to jest wstrętne, to jest niesprawiedliwe.

Loola rozgląda się trwożliwie dookoła i dopiero wtedy odważa się obdarzyć go pełnym wdzięczności uśmiechem.

— Musimy już iść — odzywa się.

W pośpiechu dołączają do reszty. Idą za lektyką, przechodzą przez salę dawnej restauracji, następnie skręcają w prawo i wchodzą do coctail baru. W jednym rogu sali olbrzymi stos ludzkich kości sięga niemal do sufitu. Na podłodze pokrytej grubą warstwą białego pyłu, przykucnęło kilkunastu rzemieślników. Zajęci są modelowaniem czarek do picia z ludzkich czaszek, wyrobem szylek z kości strzałkowych, fletni z dłuższych kości goleniowych, czerpaków, łyżek do obuwia i kostek domina z kości miednicowych, oraz kołków i zatyczek z kości podudzia.

Na komendę lektyka zatrzymuje się i w czasie, gdy jeden z robotników wygrywa melodię *Daj mi odprężenie* na flecie zrobionym z piszczela, drugi ofiarowuje Szefowi wspaniałą naszyjnik z kręgów pacierzowych, nawlekanych stopniowo, poczynawszy od najmniejszych, pochodzących z karczków dziecięcych, aż do kręgów, które niegdyś należały do bokserów najcięższej wagi.

NARRATOR

„...I umieścił on mnie pośrodku doliny, która była pełna ludzkich kości; i babcie, były one bardzo wyschnięte.” Wyschnięte kości tych, którzy umierali tysiącami, milionami w ciągu trzech słonecznych letnich dni — które dla was stanowią jeszcze przyszłość. „...I zapytał on mnie, syna człowieczego, azaliż mogłyby żyć te kości? Odpo-

wiedź, odrzekłem, jest przecząca. Bowiem jakkolwiek Baruch mógłby nas może ocalić przed koniecznością zajęcia naszych miejsc na takich cmentarzyskach kości jak to, jednak nie może on uczynić nic dla odwrócenia owej innej, powolniejszej, brzydszej śmierci...”

Na ekranie obraz lektyki w trakcie wznoszenia jej po schodach prowadzących do głównego hallu. Panujący tu smród jest wręcz obezwładniający, brud nie do opisan. Zbliżenie dwóch szczurów obgryzających kość oraz much siedzących na zaropiałych powiekach małej dziewczynki. Kamera cofa się, by objąć grupę czterdziestu bądź pięćdziesięciu kobiet siedzących na schodach; wśród odpadków na podłodze, na poszarpanych resztkach dawnych łóżek i kanap. Połowa spośród nich ma ogolone głowy, wszystkie trzymają na rękach malutkie dziesięcioletnie niemowlęta. Dzieci matek z ogolonymi głowami są zdeformowane. Widać malutkie twarzączki z zajęczymi wargami, małe ciała z kikutami w miejscu rącek i nóżek, drobniutkie dłonie o nadliczbowych paluszkach, małe korpusiki „ozdobione” podwójnym rzędem sutek. Słyszymy głos Narratora.

NARRATOR

Gdyż owa inna śmierć — spowodowana tym razem nie przez zarazę, nie przez ogień, nie przez sztucznie zaszczipionego raka, lecz przez nędzny rozpad samej substancji właściwej gatunkowi — owa wstrętna i całkiem niebohatera „śmierć w zarodku” może równie dobrze być produktem przemysłu atomowego jak i atomowej wojny. W tym świecie może się okazać, że każdy jest zagrożony, bo jego babka pracowała jako technik w zakładach promieniotwórczych. I nie tylko babka każdego z nich, ale również dziadek i ojciec, i matka, w ogóle przodkowie do trzech, czterech czy pięciu generacji wstecz.

Obiektyw przesuwa się z ostatniego zniekształconego

noworodka z powrotem na postać doktora Poole'a, który z chusteczką przytkniętą do swego nadal niezbyt wyczułonego nosa, stoi jak wryty i przygląda się w oszołomieniu temu, co go otacza.

— Wszystkie niemowlęta wyglądają, jak gdyby były dokładnie w tym samym wieku — mówi, zwracając się do stojącej wciąż obok Looli.

— A czegoż innego można by się spodziewać? One wszystkie urodziły się pomiędzy dziewiątym a dwudziestym dniem grudnia.

— Ależ to by musiało znaczyć, że... — przerywa nagle, głęboko zmieszany. — Wnioskuje — konkluduje pośpiesznie — że te sprawy tutaj dzieją się raczej inaczej niż u nas w Nowej Zelandii.

Pomimo wypitego wina przypomina mu się nagle siwowłosa Matka za oceanem, czerwieni się w poczuciu winy, kaszle nerwowo i odwraca oczy.

— Tam jest Polly! — wykrzykuje jego towarzyszka i biegnie przez hall. Doktor Poole podąża za nią, bąka wyrazy przeprosin, przeciskając się pomiędzy przykucniętymi lub leżącymi matkami.

W pobliżu tego, co było niegdyś kantorem kasjera, siedzi na wypchanym słomą worku Polly. Jest to dziewczyna osiemnasto- lub dziewiętnastoletnia, drobna i wiotka, z głową ogoloną niczym czaszka skazańca oczekującego na egzekucję. O pięknie jej twarzy decydują delikatne rysy i wielkie, błyszczące oczy. Oczy te spoglądają teraz w bolesnym oszołomieniu na twarz Looli, po czym z jej twarzy przenoszą się, bez zaciekawienia, niemal bezmyślnie, ku twarzy obcego mężczyzny, który się tu pojawił.

— Kochanie!

Loola pochyla się nisko, by ucałować przyjaciółkę. Doktor Poole znowu widzi ostrzegawcze znaki NIE, NIE. Loola siada obok Polly i pocieszająco obejmuje ją ramieniem. Polly skrywa twarz w ramionach przyjaciółki i obie dziewczyny zaczynają płakać. Mały potworek na rękach Polly budzi się, jak gdyby zarażony ich zgryzotą, i wydaje z siebie cieniutki, żaloszny jęk. Polly unosi głowę z ramienia swej przyjaciółki, spogląda mokrymi jeszcze od płaczu

oczami na upośledzone dziecko, następnie rozpina koszulę i odsuwając na bok jedno szkarłatne NIE podaje mu pierś. Dziecko zaczyna ssać z pełną zapamiętania łapczywością.

— Ja go kocham — pochlipuje Polly. — Ja nie chcę, żeby oni go zabili.

— Kochanie! — szepce Loola. To wszystko, co może jej powiedzieć: kochanie!

Donośny głos przerywa jej: — Cisza tam! Cisza!

Inne głosy podejmują refren: — Cisza! Cisza tam! Cisza, cisza!

Wszystkie rozmowy milkną raptownie i w hallu zalega długa, pełna wyczekiwania cisza. Wreszcie daje się słyszeć dźwięk rogu i jakiś inny spośród owych jakby dziecięcych, lecz pewnych siebie głosów obwieszcza: — Jego Eminencja Wikariusz Generalny Beliala — Pan Ziemi, Prymas Kalifornii, Śługa Proletariatu, Biskup Hollywoodu!

Szeroki plan, ujęcie głównych schodów hotelu. Ubrany w długi płaszcz z nubijskich kozich skór, w złotej koronie o czterech długich, ostrych rogach, Arcybiskup zstępuje majestatycznie z frontowych hotelowych schodów. Ministrant trzyma nad jego głową wielki skórzany parasol. Z tyłu kroczy kilkudziesięciu dygnitarzy kościelnych, począwszy od patriarchów o trzech rogach aż do diakonów o jednym rogu i nie posiadających tej odznaki zwykłych kleryków. Wszyscy są pozbawieni zarostu, tłuści i spoceni, a jeśli którykolwiek odzywa się, głos jego dźwięczy fletowym kontraltem.

Szef podnosi się ze swej lektyki i śpieszy na spotkanie wcielenia władzy duchownej.

NARRATOR

Kościół i państwo,

Chciwość i nienawiść:

Dwa pawiany w ciele jednego Wszechpotężnego
Goryla.

Szef pochyla z szacunkiem głowę. Arcybiskup podnosi ręce ku swej tiarze, dotyka dwóch przednich rogów, po

czym kładzie z namaszczeniem końce swych palców na czole Szefa.

— Obyś nigdy nie był przebity Jego Rogami.

— Amen — odpowiada Szef, następnie prostując się i przechodząc raptownie z tonu pobożnego na szorstko-rzeczowy, rzuca pytanie:

— Czy wszystko jest przygotowane na dzisiejszy wieczór?

Głosem dziesięcioletniego chłopca, lecz jednocześnie uroczyście i rozciągając zgłoski, jak przystoi dostojnikowi kościelnemu przywykłemu do roli zwierzchnika, stojącego wysoko ponad swym otoczeniem, Arcybiskup odpowiada, iż wszystko jest w porządku. Pod osobistym nadzorem Trzyroźnego Inkwizytora i Patriarchy Pasadeny wierna grupa pomocników i zaufanych popleczników zjeżdża wszystkie okoliczne osiedla, dokonując dorocznego spisu ludności. Każda matka, która urodziła potworka została opatrzona piętnem. Zgolono im głowy i wstępnie wychłostano. Do tego czasu wszystkie winne zostały już przetransportowane do jednego z trzech Ośrodków Oczyszczenia w Riverside, San Diego i Los Angeles. Noże i poświęcone bycze chwosty zostały również przygotowane i, z woli Beliala, ceremonia rozpocznie się o wyznaczonej porze. Do jutra oczyszczenie kraju powinno zostać zakończone.

Raz jeszcze Arcybiskup czyni znak rogów, po czym stoi parę sekund wśród skupionej ciszy. Otwierając po chwili oczy zwraca się do duchownych ze swego orszaku.

— Idźcie, bierzcie te ogolone — skrzeczy — bierzcie te plugawe naczynia, te żyjące świadectwa wrogości Beliala, i prowadźcie je na miejsce ich hańby.

Dwunastu diakonów i akolitów zbiega pędem po schodach i wpada pomiędzy kobiety.

— Szybciej! Szybciej!

— W imię Beliala!

Wolno, ociągając się, ostrzyżone kobiety wstają z ziemi. Z małymi, zniekształconymi ciałkami, przyciśniętymi do wezbranych mlekiem piersi, posuwają się w kierunku

drzwi w milczeniu, które wyraża rozpacz bardziej boleśnie niż jakikolwiek krzyk.

Obraz zatrzymuje się na Polly, która siedzi na swym sienniku. Młody nowicjusz zbliża się do niej i szarpie ją brutalnie.

— Wstawaj! — wykrzykuje tonem rozzłoszczonego i złośliwego dziecka. — Wstawaj, ty rozplodnico plugastwa! — Uderza ją w twarz. Uchylając się przed drugim ciosem, Polly podrywa się i niemal biegnie, by dołączyć do swych towarzyszek niedoli.

Obraz się zmienia. Noc. Niebo usiane gwiazdami, gdzieś przestłonięte lekką smugą chmur i blednący już księżyc, nisko po zachodniej stronie. Długa cisza; wreszcie z oddali zaczyna docierać odgłos śpiewu. Stopniowo staje się on coraz wyraźniejszy. Dają się rozróżnić słowa pieśni z powtarzającym się wciąż refrenem: — *Chwała Belialowi, Belialowi obecnemu w każdym najmniejszym stworzeniu, chwała Belialowi...*

NARRATOR

Tuż przed oczyma wyciągnięta,
Czarna mały łapa
Obejmuje gwiazdy, księżyc,
I nawet przestworza.

Śmierdzących pięć palców
Stanowi już cały świat.

Ciemny kontur łapy pawiana zbliża się do obiektywu, rośnie coraz bardziej i coraz groźniej, aż wreszcie zamyka wszystko w czarnym, kleszczowym uścisku.

Przenosimy się do wnętrza Colosseum w Los Angeles. Poprzez zadymione i migotliwe światła pochodni dostrzegamy twarze zgromadzonego tłumu, zbitego w rzędach jeden nad drugim niczym armia chimer, którym z gardzieli, z czarnych oczodołów i rozedrganych nozdrzy tryska fanatyczna wiara, bezmyślne podniecenie i zbiorowe ogłupienie — nieodmienne produkty religijnego rytuału.

Monotonne zawodzenie tłumu – Chwała Belialowi, Belialowi w najpodlejszym z nas. Poniżej na arenie setki dziewcząt i kobiet z ogolonymi głowami, każda ze swym malutkim potworkiem na rękach, klęczy u stóp wielkiego ołtarza. Na środku stopni stoją w dwóch grupach, w otoczeniu diakonów i akolitów, patriarchowie i archimandryci, wzbudzający szacunek i grozę swymi ornatami z nubijskich futer i tiarami o połączonych rogach. Śpiewają antyfonalnie, falsetowymi głosami, przy dźwiękach piszczałek z kości i baterii ksylofonów.

Chór I

Chwała Belialowi!

Chór II

Belialowi w najmniejszym!

Wreszcie, po przerwie, muzyka chóralna zmienia się i rozpoczyna się następna część nabożeństwa.

Chór I

Jest to straszną rzeczą

Chór II

Straszną, straszną

Chór I

Dostać się w ręce

Chór II

Ręce olbrzymie i włochate

Chór I

Ręce Szatana Żywego

Chór II

Alleluja!

Chór I

W ręce wroga człowieka

Chór II

I naszych dobrych kompanów;

Chór I

Z Buntu Przeciwko Porządkowi Wszechrzeczy

Chór II

A myśmy spiskowali z nim przeciw nam
samym,

Chór I

Z Wielkiej Muchy Ścierwnej, która jest Królową Much,
wą Much,

Chór II

Pełzającą w sercu;

Chór I

Z nagiego Robaka, co nigdy nie zdycha,

Chór II

I nigdy nie zdychając, jest źródłem naszego
życia wiekuistego;

Chór I

Z Księcia Władającego Potęgami Przystworzy —

Chór II

Spitfire'em i Stukasem, Belzebubem i Azazel-
lem, Alleluja!

Chór I

Z Pana tego świata

Chór II

I tego, który go plugawi,

Chór I

Z wielkiego władcy – Molocha,

Chór II

Patrona wszystkich narodów;

Chór I

Z Mamona – naszego Pana,

Chór II

Wszechobecnego

Chór I

Z Lucyfera wszechpotężnego

Chór II

W Kościele i w Państwie;

Chór I

Z Beliala

Chór II

Transcendentnego

Chór I

I, och jeszcze jak immanentnego!

Wszyscy razem:

Z Beliala, Beliala, Beliala, Beliala.

W czasie gdy cichną pienia, dwóch ministrantów zbiega ze stopni, chwytą najbliższą spośród ostrzyżonych kobiet, stawia siłą na nogi i wlecze oniemiałą ze strachu na szczyt stopni ołtarza, gdzie ostrząc długi nóż rzeźnicki stoi patriarcha Pasadeny. Krępa meksykanka stoi jak za-hipnotyzowana, wpatrując się w niego z otwartymi z przerażenia ustami. W końcu jeden z akolitów wyjmuje dziecko z jej rąk i podnosi je ku oczom patriarchy.

Zbliżenie ukazuje charakterystyczny produkt postępowej technologii – mongoloidalnego idiotę z zajęczą wargą. W tle słychać penia chórów.

Chór I

Pokażę wam oznakę wrogości Beliala

Chór II

Zgniliznę, zgniliznę;

Chór I

Pokażę wam owoc łaski Beliala,

Chór II

Plugastwo zrodzone w plugastwie.

Chór I

Pokażę wam karę za nieposłuszeństwo Jego
Woli,

Chór II

Zarówno na Ziemi, jak i w Piekle.

Chór I

Kto jest rozsadnikiem wszelkich zniekształceń?

Chór II

Matka

Chór I

Opętana, opętana

Chór II

I wewnątrz, i zewnątrz:

Chór I

Incubus jej obiektem, Succubus jej podmiotem

Chór II

A obaj są Belialem;

Chór I

Opętana przez Muchę Ścierwną

Chór II

Pełzającą i gryzącą,

Chór I

Opętana przez to, co nieodparcie

Chór II

Drażni i popędza ją,

Chór I

Niczym śmierdziel plugawy,

Chór II

Niczym maciora w rui,

Chór I

Unurzana w błocie

Chór II

I brudzie niewypowiedzianym.

Chór I

Skąd, wytarzawszy się do syta,

Chór II

Wychłaptawszy pomyje łapczywie,

Chór I

Po dziewięciu miesiącach wynurza się matką

Chór II

I rodzi to monstrualne człowieka pośmiewisko.

Chór I

Jakaż tedy będzie pokuta?

Chór II

Przez krew.

Chór I

Jak prześlągany zostanie Belial?

Chór II

Tylko przez krew.

Kamera przesuwa się od ołtarza w stronę amfiteatru, gdzie stłoczone w rzędach jeden nad drugim blade maskarony wpatrują się wzrokiem żądnym wrażeń w scenę na dole. I nagle rozwierają się czarne paszczęki, śpiew unisono, niepewny z początku i słaby, przybiera na sile i staje się coraz potężniejszy: — Krew, krew, krew, krew, przez krew, krew, krew, krew...

Z powrotem ołtarz. Słysząc bezmyślne, nieludzkie, monotonne zawodzenie. Teraz widzimy, jak patriarcha wręcza osełkę jednemu z usługujących archimandrytów, po czym lewą ręką chwyta za karczek zdeformowane dziecko i wbija na ostrze długiego noża. Niemowlę wydaje dwa, trzy krótkie, podobne do kwiczenia piski i cichnie. Patriarcha odwraca się, czeka aż krew spłynie na ołtarz, następnie odrzuca maleńkie ciało w ciemność za sobą. Zawodzenie przechodzi w dzikie crescendo:

— Krew — krew, krew — krew, przez krew, krew — krew...

— Wyrzucić ją precz! — krzyczy piskliwym, rozkazującym tonem patriarcha.

Matka odwraca się i z przerażeniem ucieka po stopniach. Dwóch akolitów biegnie za nią, smagając ją z wściekłością poświęconymi pydami z byczych chwostów. Zawodzące śpiewy są przerywane wybuchami przeraźliwych wrzasków. Wśród tłumu narasta hałas, który w połowie jest jękiem współczucia, w połowie pomrukiem zadowolenia.

Młodzi, tłustawi pomocnicy, zgrzani i zdyszani od niecodziennego wysiłku, chwytają inną kobietę – tym razem dziewczynę delikatną i smukłą, o dziecięcej niemal budowie. Nie widać jej twarzy, gdy wloką ją na stopnie, jednak po chwili jeden z nich odstępkuje nieco do tyłu i rozpoznajemy Polly. Jej pozbawione kciuków i o czterech parach sutek niemowlę podnoszą do góry i podają kapłanowi.

Chór I

Plugawe, plugawe! Jakaż tedy będzie pokuta?

Chór II

Przez krew.

Chór I

Jak prześlągany zostanie Belial?

Tym razem już cały zgromadzony tłum odpowiada:

– Tylko przez krew, krew, krew, krew...

Lewa ręka patriarchy zaciska się wokół szyi dziecka.

– Nie, nie, nie zabijajcie go! Błagam!

Polly wyrywa się naprzód, lecz zostaje odciągnięta przez pomocników kapłana. Podczas gdy ona szlocha, patriarcha z całym rozmysłem i spokojem nadziewa niemowlę na nóż, po czym odrzuca ciało w ciemny kąt za ołtarzem.

Słychać głośny okrzyk. Kamera rejestruje widocznego w pierwszym rzędzie doktora Poole'a w momencie, gdy osuwa się zemdłony.

Przenosimy się do wnętrza Satanicum. Kapliczkę, która stoi na końcu krótszej osi areny, obok głównego ołtarza, stanowi niewielkie, podłużne pomieszczenie z niewypalanej cegły, z ołtarzem w jednym końcu i przesuwany mi, zamkniętymi obecnie drzwiami na drugim; przez szparę można obserwować, co dzieje się na arenie. Na sofie, umieszczonej pośrodku kapliczki, spoczywa Arcy biskup. Opodal niego bezrogi akolita podsmaża na węgło-

wym piecyku nóżki wieprzowe, a stojący obok, zdobny w dwa rogi archimandryta stara się jak może ocucić leżącego na noszach, nieprzytomnego doktora Poole'a. Zimna woda i parę mocnych uderzeń w twarz odnoszą w końcu pożądany skutek. Nasz botanik wzdycha, otwiera oczy, uchyla się przed kolejnym plaśnięciem i siada.

— Gdzie ja jestem? — zapytuje.

— W Satanicum — odpowiada archimandryta. — A tam jest Jego Eminencja.

Doktor Poole rozpoznaje dostojnika i okazuje dość przytomności umysłu by skłonić głowę z szacunkiem.

— Przynieść stołek — rozkazuje Arcykapłan.

Przynoszą stołek. Na skinienie dostojnika dr Poole dźwiga się z trudem, przechodzi przez pokój nieco chwiejnie i siada. W tym momencie dobiega go szczególnie głośny wrzask, który każe mu odwrócić głowę w stronę głównego ołtarza. Patriarcha odrzuca właśnie w mroczny kąt przebite ciało nowego potworka, podczas gdy akolici smagają krzyczącą rozpaczliwie matkę.

Ponownie widzimy doktora, wzdrygającego się i zakrywającego twarz rękoma. W podkładzie dźwiękowym monotonne zawrozczenie zgromadzonego tłumu: — Krew, krew, krew...

— Potworne! To jest potworne — powtarza dr Poole.

— A jednak w waszej religii krew występuje także — odzywa się Arcykapłan z ironicznym uśmiechem. — „Obmyty we krwi Baranka”. Czyż nie tak?

— Zgadza się w zupełności — przyznaje dr Poole — lecz obecnie już nie praktykujemy obmywania. My tylko mówimy o tym, czy raczej tylko śpiewamy o tym w hymnach.

Doktor Poole odwraca oczy. Zalega cisza. Nagle zjawia się akolita z wielkim półmiskiem. Stawia go wraz z kilkoma butelkami na niskim stoliku obok sofy. Nadziejając nóżkę wieprzową na oryginalny antyczny dwudziestowieczny widelec, będący imitacją sztucców wczesnogregoriańskich, Arcykapłan zabiera się do metodycznego obgryzania.

— Niech się pan częstuje — zachęca piskliwym głosem

sem, między jednym kęsem a drugim. — A tutaj jest nieco wina — dodaje wskazując na jedną z butelek.

Dr Poole, który jest straszliwie głodny, skwapliwie korzysta z zaproszenia. Znów zalega cisza pełna odgłosów jedzenia i zawodzenia o krwi.

— Pan w to nie wierzy, oczywiście — odzywa się wreszcie Arcybiskup, z ustami pełnymi jedzenia.

— Ależ zapewniam, że... — protestuje dr Poole. W tej chwili jego chęć ugody wydaje się być przemożna. Tymczasem rozmówca unosi w górę swą ciężką, tłustą, podobną do polcia wieprza rękę.

— Chwileczkę, chwileczkę! Przede wszystkim chciałbym, żeby pan zrozumiał, iż my mamy słuszne podstawy dla naszej wiary. Nasza wiara, mój szanowny panie, jest wiarą racjonalną i realistyczną.

Na chwilę przerywa i pociąga łyk wina z butelki oraz częstuje się drugą nóżką.

— Przypuszczam, że zna pan historię świata, nieprawdaż?

— Wyłącznie jako dyletant — odpowiada skromnie dr Poole, lecz jednocześnie uświadamia sobie, że może śmiało przyznać się iż czytał większość owych dzieł traktujących najobszerniej ten temat, na przykład Gravesa *Wzrost i upadek znaczenia Rosji*, Basedowa *Upadek cywilizacji zachodniej*, nieporównane dzieło Brighta *Europa — autopsja* oraz absolutnie znakomitą książkę, która będąc powieścią, jest mimo to bezwzględnie prawdomówna — *Ostatnie dni Coney Island* starego, kochanego Percivala Potta. — Zna pan ją, oczywiście?

Arcykapłan potrząsa przecząco głową.

— Nie znam niczego spośród rzeczy opublikowanych po tym, jak To się stało — odpowiada krótko.

— Ach, jakież ja jestem głupi! — wykrzykuje doktor Poole, ubolewając w duchu, zresztą nie po raz pierwszy w swym życiu, nad niepohamowaną elokwencją zastępującą mu spryt, ów spryt, który nakazywałby mu raczej milczenie.

— Ale czytałem dość dużo z tego, co wychodziło przedtem — ciągnie dalej Arcykapłan — tutaj, w połud-

niowej Kalifornii, były całkiem dobre biblioteki, teraz w większości niemal zupełnie opróżnione. Obawiam się, że niedługo będziemy musieli dla zdobycia opału chodzić w dalsze okolice. Ale dotychczas mieliśmy na czym piec nasz chleb i mogłem nawet zaoszczędzić dla naszego seminarium jakieś 3 czy 4 tysiące tomów.

— Zupełnie jak Kościół w Ciemnych Wiekach — stwierdza z kulturalnym entuzjazmem doktor Poole. — Cywilizacja nie może mieć większego przyjaciela od religii. Oto jest rzecz, której moi przyjaciele agnostycy zupełnie nie mogą...

Nagle uświadomiwszy sobie, że dogmaty tamtego kościoła nie były znów takie bardzo podobne do zasad wyznawanych przez ten kościół, przerywa w pół zdania i aby ukryć zmieszanie, pociąga długi łyk ze swej butelki. Lecz na szczęście Arcykapłan nazbyt jest zajęty własnymi koncepcjami, by obrazić się z powodu *faux pas* lub nawet je zauważyć.

— Z tego co czytałem w historii — zwraca się do doktora — było to tak: Człowiek przeciwstawiał się Przyrodzie, Jaźń — Porządkowi Wszechrzeczy, Belial (robi automatycznie znak rogów) — Temu Innemu. W ciągu setek tysięcy lat bitwa ta nie mogła się rozstrzygnąć. Wreszcie trzysta lat temu, w ciągu jednej niemal nocy, przyptyw wezbrał i począł pędzić w jednym kierunku. Nie zechciałby pan skosztować jeszcze jednej nóżki wieprzowej?

Doktor Poole zabiera się do drugiej, podczas gdy Arcykapłan nadgryza trzecią z kolei.

— Z początku powoli, później z coraz bardziej wzbierającą siłą naporu, zaczyna człowiek atakować Porządek Wszechrzeczy — Arcykapłan przestaje na chwilę mówić, aby wypluć kawałek chrząstki. — W miarę tego, jak ludzkość coraz bardziej przekraczała granice, Władca Much rozpoczął swój triumfalny pochód przez świat i stał się jego niekwestionowanym Panem.

Upojony własną elokwencją i zapominając przez chwilę, iż nie znajduje się na kazalnicy w St. Azazel, Arcybiskup poczyna zamazywać gestykulować. Wieprzowa nóż-

ka spada mu z widelca. Chichocząc z zadowolenia i jak gdyby ubawiony, podnosi ją z ziemi, wyciera o mankiety sutanny i po odgryzieniu nowego kęsa kontynuuje wykład.

— Zaczęło się to od maszyn i pierwszych okrętów ze zbożem, płynących z Nowego Świata. Żywność dla głodnych i brzemię trudów zdjęte z ramion ludzkich. O Boże, dzięki Ci za wszystkie błogosławieństwa, którymi zechciałeś w Twej Szczodroblivości... et cetera, et cetera. — Arcybiskup śmieje się szyderczo.

— Nie potrzeba chyba nawet o tym wspominać, iż nikt nigdy nie otrzymał niczego za darmo. Hojność boska ma swą określoną cenę, a już Belial dba o to, by była to cena wysoka. Niech pan weźmie na przykład owe maszyny. Belial rozumiał doskonale, że kiedy ulży się trudom człowieka, nad jego ciałem zapanuje żelazo, zaś umysł stanie się niewolnikiem kółek i trybów. Wiedział on, iż jeśli maszyna nie wykazuje objawów głupoty ludzkiej, to w równym stopniu musi być pozbawiona takich walorów jak uzdolnienie, talent czy natchnienie. Zwracamy pieniądze, jeśli produkt okazuje się wadliwy, natomiast podwójnie płacimy, jeśli udaje się w nim odnaleźć najmniejszy ślad geniuszu czy indywidualności! Wreszcie przyszła i owa cenna żywność z Nowego Świata. O Boże, dzięki Ci... Lecz Belial wiedział, że żywność oznacza płodzenie. Niegdyś, gdy ludzie uprawiali miłość, przyrost naturalny zmniejszał się tylko przez wzrost śmiertelności noworodków. Ale gdy zaczęły przybywać okręty z żywnością, sytuacja zmieniła się zasadniczo. Rozmnażano się z zemsty!

Arcykapłan znów zaśmiał się piskliwie.

Na ekranie pojawiają się w mikroskopowym powiększeniu plemniki toczące zapamiętałą walkę o dotarcie do swego Celu Ostatecznego — olbrzymiego na kształt księżycy *ovum*, które widzimy w lewym górnym narożniku płytki. Podkład dźwiękowy stanowi partia tenora z ostatniej części Symfonii Faustowskiej Liszta: *La femme éternelle toujours nous élève. La femme éternelle toujours...* Na ekranie pojawia się nagle widok Londynu z lotu ptaka w roku 1800. Po tym znowu darwinowski wyścig życia

ze śmiercią i walka o przetrwanie. Następnie znów widok Londynu w roku 1900 — i znów spermatozoa — i znów Londyn, tym razem widziany oczyma niemieckich lotników w roku 1940. Wreszcie zbliżenie twarzy Arcykapłana. „O, Boże — intonuje lekko trzęsącym się głosem, który uchodził zawsze za najbardziej odpowiedni przy tego rodzaju wypowiedziach — dzięki Ci za wszystkie te nieśmiertelne dusze”, po czym zmieniając ton, ciągnie dalej: „za wszystkie te nieśmiertelne dusze zamieszkujące w ciałach, które rosą stopniowo coraz słabiej, są z każdym rokiem coraz to bardziej chorowite, parszywe i skarłowaciałe, jako że wszelkie rzeczy przewidziane przez Beliala nastąpić muszą nieodwracalnie. Przeludnienie planety. Pięćset, osiemset, gdzieśniedzie nawet dwa tysiące ludzi na milę kwadratową przy niewystarczającej produkcji żywności i to w kraju zmierzającym ku ruinie, na skutek złej gospodarki rolnej. Gdzie nie spojrzeć erozja gleby, na wyczerpaniu bogactwa mineralne. Powiększają się pustynie i kurczą się lasy. Nawet w Ameryce, nawet w tym Nowym Świecie, który był niegdyś nadzieją starego: wzrost produkcji przemysłowej, spadek żyzności gleby. Więcej i lepiej, zamożniej i potężniej, a po tym niemal nagle: głódniej i głódniej. Tak, Belial przewidział to wszystko: głód i importowaną żywność, i ponownie — od importowanej żywności do nadmiernego zaludnienia z powrotem do głodu. Z powrotem do głodu. Nowy Głód, Większy Głód, głód zindustrializowanych proletariackich mas; głód bogatych mieszkańców miast, posiadających wszystkie nowoczesne wygody, samochody i radioaparaty i wszelkie luksusowe drobiazgi. Głód, który wznieca wojny totalne, i wojny totalne, które powodują jeszcze większy głód”.

Arcykapłan robi małą pauzę dla zaczerpnięcia łyku z butelki.

— I niech pan zapamięta — dodaje. — Nawet bez pomocy sztucznie wywołanej nosacizny, nawet bez bomby atomowej Belial może spełnić każde swoje zamierzenie. Być może nie tak szybko, lecz niemniej z całą pewnością ludzie wytępiliby się wzajemnie, niszcząc świat, który za-

mieszkiwali. Po prostu nie można przed tym uciec. On nadział ich na oba rogi. Jeśli nawet udałoby się im uniknąć totalnej wojny, grozi im pal głodu. A przymierając głodem ulegliby pokusie wojny, nawet gdyby szukali rozsądnego i pokojowego rozwiązania problemu. Bo on miał przygotowany inny, bardziej subtelny róg — samozniszczenia. Od samego początku rewolucji przemysłowej przewidział On, iż ludzie staną się tak nieuleczalnie zarozumiali z powodu cudownych osiągnięć techniki, że utracą wkrótce kontakt z rzeczywistością. I dokładnie to właśnie się stało. Owi nieszczęśni niewolnicy śrubek i ksiąg rachunkowych sądzą, że opanowali Naturę. Zdobycy Natury, rzeczywiście! Faktycznie, rzecz jasna, zachwiali tylko równowagę w przyrodzie i musieli ponieść konsekwencje. Niech pan tylko rozważy, do czego doszli w ciągu półtora wieku poprzedzającego tę r z e c z: zanieczyszczono rzeki, wybito dzikie zwierzęta, zniszczono lasy, przyśpieszono erozję gleby, spalono ocean nafty, trwoniono minerały, których złoża powstawały w ciągu całego okresu geologicznego. Orgia przestępczej głupoty. A oni nazywali to Postępem. Postęp! — powtarza Arcykapłan — postęp! Powiem panu — to było nazbyt niezwykłym wynalazkiem, aby mogło być wytworem tylko ludzkiego umysłu — to było diabelsko perfidne! To dokonało się z zewnętrzną pomocą. Musiała to być Łaska Beliala, która, jak wiadomo, zawsze się objawia każdemu, kto jest przygotowany na jej odbiór, a któż nie jest gotów?

— Któż nie jest gotów? — powtarza doktor Poole z lekkim uśmiechem w głosie, gdyż czuje, że powinien jakoś naprawić swoją niefortunną wypowiedź na temat Kościoła w Wiekach Ciemnoty.

— Postęp i Nacjonalizm — to były owe dwie wielkie idee, które On wbił im do głowy. Postęp — teoria głosząca, że możecie otrzymać coś w zamian za nic. Teoria, wedle której możecie zyskać w jednej dziedzinie nie płacąc za tę wygraną w innej. Teoria, iż samemu można zrozumieć sens historii, że można wiedzieć, co się stanie za pięćdziesiąt lat, i że na podstawie doświadczenia możecie przewidzieć wszelkie skutki waszego obecnego działania.

Teoria, według której Utopia znajduje się tuż, tuż przed nami. Teoria, która również głosi, że idealne cele uświęcają najobrzydliwsze środki, że przywilejem i obowiązkiem jest rabować, oszukiwać, torturować, niewolić i mordować wszystkich tych, którzy według waszej opinii (a ta jest w myśl definicji nie do obalenia) przeszkadzają w marszu do wrót ziemskiego raju. Czy pan sobie przypomina owo zdanie z Karola Marksa: „Przemoc jest akuszerką postępu”? Mógłby on wówczas dodać — lecz oczywiście Belial nie chciał wypuszczać kota z worka w tak wczesnym stadium wydarzeń — iż postęp jest akuszerką przemocy. Po dwakroć akuszerką z uwagi na fakt, iż postęp techniki zaopatruje ludzi w ślepe narzędzia do coraz szybszego niszczenia, podczas gdy mit o politycznym i moralnym postępie uzasadnia posługiwanie się tymi środkami bez ograniczeń. I twierdzę, mój szanowny panie, że bezbożni historycy są szaleni. Im dłużej studiuje się historię współczesną, tym więcej odnajduje się śladów Przewodniej Ręki Beliala.

Arcybiskup czyni znak rogow, odświeża gardło nowym łykiem wina i ciągnie dalej: — Aż wreszcie pojawił się Nacjonalizm — teoria głosząca, że państwo, którego jesteście poddanymi, jest jedynie prawdziwym bogiem, natomiast wszelkie inne państwa są fałszywymi bogami. Głosi on, że wszyscy owi bogowie, zarówno prawdziwi jak i fałszywi, posiadają mentalność młodocianych przestępców; twierdzą, że każdy prestiżowy konflikt czy walka o władzę lub pieniądze, jest krucjatą prowadzoną w imię Dobra, Prawdy i Piękna. Fakt, iż w pewnym momencie historycznym doszło do tego, że takie właśnie teorie zostały powszechnie przyjęte, jest najlepszym dowodem na istnienie Beliala i na to, że ostatecznie On musiał wygrać tę bitwę.

— Niezupełnie pana zrozumiałem — odzywa się dr Poole.

— Ależ to jest przecież oczywiste. Ma pan tutaj dwie idee, każda jest na wskroś absurdalna i każda sugeruje sposoby działania, których wyniki okazują się rzeczywiście fatalne. A mimo to cała cywilizowana ludzkość niemal

raptownie zaakceptowała te idee czy początek konfliktów. Dlaczego? I na skutek czyjej sugestii, czyich nalegań, czyjego natchnienia? Odpowiedź może być tylko jedna.

— Pan uważa, że... pan myśli, że to był... że to był Szatan?

— A któż inny może życzyć sobie upadku i zniszczenia ludzkiej rasy?

— Oczywiście, oczywiście — przytakuje dr Poole — ale jednocześnie, jako chrześcijanin wyznania protestanckiego naprawdę nie mogę...

— Doprawdy? — pyta sarkastycznie kapłan. — W takim razie wie pan lepiej niż Luter, wie pan lepiej niż cały kościół. Czy panu wiadomo, sir, że począwszy od drugiego stulecia, żaden prawowierny chrześcijanin nie wierzył w to, iż człowiek może być opętany przez Boga? Mógł on być opętany tylko przez Diabła. A dlaczego ludzie w to wierzyli? Ponieważ fakty nie pozwalały im wierzyć inaczej. Belial jest faktem, Moloch jest faktem, opętanie przez Diabła jest faktem.

— Protestuję — wykrzykuje dr Poole — jako człowiek nauki...

— Jako człowiek nauki jest pan obowiązany przyjąć hipotezę roboczą, która wyjaśnia fakty w sposób najbardziej przekonujący. A więc, jakież mamy fakty? Pierwszym faktem w zakresie doświadczenia i obserwacji jest mianowicie to, że nikt nie chce cierpieć ani być poniżany, nie chce być okaleczonym ani zabitym. Drugi, to fakt historyczny, który wykazuje, że w pewnej epoce przytłaczająca większość istot ludzkich przyjęła wiarę i przyswoiła sobie metody działania, które w rezultacie nie mogły przynieść niczego innego, jak tylko powszechne cierpienie, ogólną degradację i masowe zniszczenie. Jedynym możliwym do przyjęcia wyjaśnieniem jest to, że ludzie ci zostali zainspirowani, względnie opętani przez cudzą świadomość, świadomość, która opanowała ich słabą wolę i to tak silnie, że nie byli nawet w stanie zapewnić sobie szczęścia i trwałości własnej egzystencji.

— Oczywiście — dr Poole odważa się wreszcie przemówić po chwili ciszy, która zapadła po słowach arcybi-

skupa — wszystkie te fakty można by wytłumaczyć również w inny sposób.

— Ale nie tak przekonywująco, ale nie tak prosto — upiera się Arcykapłan. — A wreszcie, niech pan rozpatrzy wszystkie inne dowody. Niech pan weźmie na przykład pierwszą wojnę światową. Gdyby ludzie, włącznie z politykami, nie byli opętani, na pewno usłuchaliby Benedykta XV czy lorda Lansdowne'a. Porozumienie i pertraktacje pokojowe były możliwe bez zwycięstwa lub klęski. Lecz oni nie mogli, nie mogli tego zrobić, bo nie działali w interesie własnym. Musieli robić to, co Belial im nakazywał, a Belial wcielony w nich, żądał komunistycznej rewolucji, domagał się faszystowskiej reakcji wobec tej rewolucji, chciał Mussoliniego, Hitlera i Politbiura, domagał się głodu, inflacji i depresji, żądał zbrojeń jako lekarstwa na bezrobocie, nakazywał prześladowanie Żydów i kułaków, postulował, by hitlerowcy i komuniści podzielili się Polską, a potem rozpoczęli ze sobą wojnę. Tak, to On pragnął całkowitego odrodzenia się niewolnictwa w jego najbardziej brutalnej formie. On pragnął przymusowych emigracji i zubożenia mas. On pragnął obozów koncentracyjnych, komór gazowych i pieców krematoryjnych. On pragnął intensywnych bombardowań (co za soczyste zdanie!), On pragnął zniszczenia w ciągu jednej nocy bogactw nagromadzonych w ciągu wieków, unicestwienia całego potencjału dobrobytu, wolności i kultury. Belial pragnął tego wszystkiego, a będąc Wielką Muchą Ścierwną w sercach polityków i generałów, dziennikarzy i szarych ludzi, potrafił bez trudu osiągnąć to, iż papież został zignorowany nawet przez katolików, a Lansdowne potępiony jako zły obywatel, nieomalże zdrajca. I tak wojna toczyła się przez całe cztery lata, a wszystko już przebiegało ściśle według planu. Warunki życia na świecie stawały się coraz gorsze, a w miarę jak niegodziwości narastały, ludzie stawali się stopniowo coraz bardziej podatni na działalność Nieczystego Ducha. Dawne przekonania o wartości każdej indywidualnej duszy znikły, dawne zakazy i hamulce traciły skuteczność. Staromodna skrucha i współczucie zagięły. Wszystko, co ten

Inny wkładał im przedtem do głowy, wyparowało, a powstałą pustkę wypełniły obłąkane rojenia o Postępie i Nacjonalizmie. Skutki owych rojeń były widoczne od razu u żyjących wówczas ludzi. Stali się oni tyleż warci co mrówki i pluskwy gniezdzące się w kanapach, i tak też ich traktowano. Z całą pewnością tak właśnie byli traktowani!

Arcykapłan chichoce przenikliwym dyszkantem i częstuje się ostatnią nóżką wieprzową.

— Jak na swój czas — podejmuje dalej — stary Hitler był wcale pięknym okazem opętańca. Nie tak kompletnie opętany oczywiście jak wielu wybitnych przywódców nacjonalistycznych między rokiem 1945, a początkiem trzeciej wojny światowej, ale w każdym razie w swojej epoce znajdował się znacznie powyżej przeciętnej. Bardziej niż ktokolwiek inny z jego współczesnych miał prawo powiedzieć „Nie ja, lecz Belial we mnie”. Inni byli opętani tylko częściowo, albo tylko w pewnych okresach czasu. Niech pan weźmie na przykład uczonych: dobrzy, w większości rozumni ludzie, lecz On ich również opanował, zawładnął nimi w taki sposób, iż przestali być istotami ludzkimi, a stali się specjalistami. Stąd właśnie broń biologiczna i wodorowe bomby. A wreszcie niech pan sobie przypomni człowieka... Jak on się nazywał? No, ten, który był prezydentem Stanów Zjednoczonych przez tak długi czas...

— Roosevelt? — sugeruje doktor Poole.

— Otóż ten Roosevelt. Pięknie, czy pan sobie przypomina zdanie, które on powtarzał w czasie drugiej wojny światowej? „Bezwarunkowa kapitulacja, bezwarunkowa kapitulacja”. To było pełne natchnienie. Bezpośrednie i pełne natchnienie!

— Tak pan twierdzi, ale gdzie jest dowód? — oponuje doktor Poole.

— Dowód? — powtarza Arcybiskup. — Cały dalszy bieg historii jest dowodem. Niech pan zanalizuje to, co nastąpiło, gdy hasło o bezwarunkowej kapitulacji zostało zastosowane w praktyce. Bezwarunkowa kapitulacja — ile milionów nowych gruźlików? Ile milionów dzieci zmu-

szonych do uprawiania złodziejstwa lub prostytuujących się za tabliczkę czekolady? Belial był szczególnie zainteresowany dziećmi. I dalej, owa bezwarunkowa kapitulacja to ruina Europy, chaos w Azji, wszędzie głód, rewolucje, tyranie. Bezwarunkowa kapitulacja spowodowała, że znacznie więcej niż w jakimkolwiek innym okresie ludzi niewinnych doznało gorszych cierpień, a jak pan zapewne bardzo dobrze wie, Belial niczego tak nie lubi jak właśnie cierpień istot niewinnych. No i w końcu, oczywiście, doszło do Tego... Bezwarunkowa kapitulacja i... bang! Właśnie tak, jak On sobie tego zawsze życzył. A wszystko to stało się bez żadnego cudu ani specjalnej interwencji, ot, wyłącznie przy pomocy środków naturalnych. Im więcej się rozmyśla nad dziełami Jego Opatrzności, tym bardziej wydają się one niezgłębione i cudowne.

Arcykapłan czyni uroczysty znak rogów. Następuje mała przerwa. — Niech pan słucha — odzywa się wreszcie i podnosi rękę do góry. Przez kilka chwil obaj siedzą w milczeniu. Niewyraźny odgłos monotonnego, bełkotliwego zawodzenia dobiega od strony wielkiego ołtarza: „Krew, krew, krew, krew...” Nagle słychać krótki i słabnący od razu krzyk kolejnego nadziewanego na nóż patriarchy potworka, po czym znów głucho odgłosy spadających na matki byczych pyd i nieludzkie wrzaski, dolatujące poprzez wycie podnieconego tłumu.

— Wręcz trudno jest sobie wyobrazić, że On mógł nas stworzyć bez uciekania się do pomocy cudu — ciągnie dalej w zamyśleniu Arcykapłan — lecz On tego dokonał. On tego dokonał zupełnie naturalnymi środkami, używając istot ludzkich i ich wiedzy jako swoich instrumentów; stworzył całkowicie nową rasę ludzi, z zarodkiem deformacji we krwi, osaczonych zewsząd zmorą nędzy i brudu. Ludzie ci nie dostrzegają przyszłości, która ich czeka, i nie widzą niczego innego prócz perspektywy jeszcze gorszego upodlenia, jeszcze gorszego zwyrodnienia, a wreszcie kompletnej zagłady. Tak, jest to straszną rzeczą dostać się w ręce Szatana Żywego.

— Więc dlaczego wobec tego — pyta dr Poole — oddajecie Mu cześć?

– A dlaczego rzuca się żer tygrysowi, który ryczy? Ażeby kupić chwilę spokoju na zaczerpnięcie oddechu. Ażeby odsunąć od siebie, choćby na czas jakiś, grozę tego, co się musi stać, co jest nie do odparcia zarówno na ziemi jak i w piekle, ale przynajmniej pozostaje się jeszcze chwilę na ziemi.

– A o to właściwie nie warto zabiegać – odzywa się dr Poole filozoficznym tonem człowieka, który właśnie skończył jeść obiad.

Nowy, jeszcze bardziej przeszywający krzyk zmusił go do odwrócenia głowy w stronę drzwi. Przez chwilę nasłuchiwał w milczeniu. Tym razem na twarzy jego maluje się nie tyle przerażenie, ile raczej strach, nad którym jednak wyraźnie bierze górę naukowa ciekawość.

– Powoli przyzwyczajamy się do tego, he? – zauważa uprzejmie Arcykapłan.

NARRATOR

Sumienie i zwyczaj.
Pierwsze czyni z nas tchórzy,
Czasem nawet świętych
Zawsze zaś ludzkie istoty.
Z drugiego biorą swój początek
Patrioci, papiści, protestanci,
Babbittowie, sadyści, Szwedzi czy Słowacy,
Oprawcy kułaków i mordercy Żydów
I ci, co bez wahań i żadnych skrupułów
Torturują w imię wzniosłych celów
Drżące z przerażenia ciała
Aby złamać swych ofiar pewność
I wiarę w Najwyższe Posłannictwo.

Tak, drodzy przyjaciele, przypomnijcie sobie, jak czuliście się upokorzeni kiedyś, gdy Turcy masakrowali większą niż zazwyczaj ilość Ormian, jak dziękowaliście Bogu za to, że żyjecie w protestanckim, postępowym kraju, gdzie takie rzeczy po prostu nie mogły mieć miejsca. Nie miały miejsca, ponieważ mężczyźni nosili meloniki i jeź-

dzili codziennie do miasta o godzinie 8.23. A teraz z kolei zastanówcie się przez chwilę nad okropnościami, które uważacie za rzeczy zwykłe: gwałcenie norm najbardziej elementarnych u ludzi przyzwoitych, inne gwałty dokonywane w waszym imieniu (czy może nawet waszymi własnymi rękami); okrucieństwa oglądane przez waszą córeczkę dwa razy w tygodniu w czasie wyświetlania kroniki filmowej i reakcja dziewczynki, która uważa je za zjawiska powszechne, naturalne i nudne. Za dwadzieścia lat wasze wnuki będą oglądać w telewizji walki gladiatorów, a kiedy te zaczną się stawać nudne, nadejdzie kolej na masowe męczeństwo całej armii ludzi o przeciwnych poglądach lub prezentować się będzie kolorowe zdjęcia z obdzierania w Tegucigalpa ze skóry siedemdziesięciu tysięcy osób podejrzanych o działalność antyhonduraską.

W Satanicum dr Poole nadal dokonuje obserwacji przez szczelinę w rozsuwanych drzwiach.

Arcykapłan dłubie tymczasem w zębach. Trwa błoga poobiednia cisza.

Nagle dr Poole zwraca się do partnera.

— Coś się dzieje! — wykrzykuje w podnieceniu. — Oni opuszczają zajmowane miejsca!

— Oczekiwałem tego już od dłuższego czasu — odpowiada Arcykapłan, nie przestając dłubać w zębach. — To krew się odzywa.

— Wskakują na arenę — relacjonuje w podnieceniu doktor. — Gonią się wzajemnie. Cóż to...? O mój Boże! Przepraszam — dodaje pospiesznie. — Ależ naprawdę, n a p r a w d ę...

Niezwykłe podekscytowany odsuwa się od drzwi.

— Są przecież jakieś granice... — szepce.

— Otóż właśnie jest pan w błędzie — odpowiada Arcykapłan. — Granic nie ma. Każdy jest zdolny do wszystkiego. Tak, do wszystkiego.

Dr Poole nie odpowiada. Popychany nieodparcie przez jakiś impuls silniejszy od jego woli, powraca na poprzednie miejsce, skąd przypatruje się ze strachem i ciekawością temu, co dzieje się na arenie.

— To jest potworne! — wykrzykuje z niesmakiem — to jest coś co burzy normy moralne!

Arcykapłan podnosi się ciężko ze swej sofy, otwiera małą szafkę w murze, wyjmuje lornetki i wręcza jedną doktorowi.

— Niech pan spróbuje tę — mówi. — Nocne szkła. Standartowe wyposażenie floty w okresie, zanim To się stało. Będzie pan widział wszystko.

— Ale pan sobie nie wyobraża, co...

— Nie tylko sobie wyobrażam — odpowiada Arcykapłan z ironicznie łaskawym uśmiechem. — Widzę własnymi oczami. Posuń się naprzód, człowieku, i patrz! Takich rzeczy nie widział pan w Nowej Zelandii nigdy.

— Z pewnością nie — przytakuje dr Poole tonem, którego używała jego Matka, ale równocześnie podnosi szkła do oczu.

Długie, szerokie ujęcie i spokojne najazdy kamery. Scena gonitwy. Nimfy są chwywane przez satyrów; prowokują oporem, a równocześnie entuzjastycznie ulegają brodatym prześladowcom; dyszą, poddają się niecierpliwej pieszczocie przy akompaniamencie orgiastycznych krzyków, skowytów i piskliwego śmiechu.

Kamera wraca. Twarz Arcykapłana wykrzywia grymas pogardy i niesmaku.

— Zupełnie jak koty — odzywa się wreszcie. — Z tym tylko, że koty są na tyle przyzwoite, iż nie uprawiają swoich igraszek miłosnych publicznie. No i ma pan jeszcze jakieś wątpliwości co do Beliala teraz, po tym?

Zalega chwila milczenia.

— Czy to się stało po... po owej rzeczy? — dopytuje się doktor Poole.

— Tak, w ciągu dwóch generacji.

— Dwoch generacji! — dr Poole gwizdże z wrażenia.

— I żadnej recesji w związku z tą mutacją? A czy oni nie... no cóż, mam na myśli... czy oni nie mają podobnych odczuć, robiąc tego rodzaju rzeczy w każdym innym okresie?

— Tylko w ciągu pięciu tygodni i to wszystko. A my

pozwalamy na tylko dwa tygodnie faktycznego obcowania.

– Dlaczego?

Arcybiskup robi palcami znak rogów na czole.

– Ze względów zasadniczych. Mają być karani dlatego, by byli karani. Takie jest prawo Beliala, a mogę potwierdzić, że odczuwają wyraźnie każde naruszenie ustawy.

– Oczywiście, oczywiście – przyznaje doktor Poole, przypominając sobie z pewnym niepokojem epizod z Loolą na wydmach.

– Prawo jest szczególnie surowe wobec tych, którzy kontynuują dawny model obcowania płciowego.

– A czy dużo jest takich?

– Od pięciu do dziesięciu procent ludności. Nazywamy ich „gorącymi”.

– I wy nie pozwalacie...?

– Wybijamy im to z głowy, jeśli ich tylko złapiemy.

– Ależ to jest potworne!

– Oczywiście, że tak – zgadza się Arcybiskup – lecz niech pan sobie przypomni waszą własną historię. Jeśli chcecie pobudzić w społeczeństwie solidarność, musicie mieć wrogów na zewnątrz albo prześladować mniejszość wewnątrz kraju. My nie mamy wrogów zewnętrznych, więc musimy wykorzystać naszych „gorących”. Są oni tym, czym byli Żydzi pod panowaniem Hitlera, czym byli burżuje dla Lenina i Stalina, czym heretycy zwykli być w krajach katolickich, a papiści dla protestantów. Jeśli coś jest nie w porządku, jest to zawsze wina „gorących”. Nie wyobrażam sobie nawet, jak byśmy bez nich dali sobie radę.

– Ale czyż pan przestał w ogóle myśleć o tym, co oni muszą odczuwać?

– A po cóż miałbym o tym rozmyślać? Po pierwsze, obowiązuje prawo: zasługujecie na karę dlatego, abyście byli ukarani. Po drugie: jeśli zachowujecie się dyskretnie, nie zostaniecie ukarani. Jedynej rzeczy mają przestrzegać: unikać robienia dzieci w nieodpowiednim sezonie i ukrywać to, że się zakochali i utrzymują stosunki z osobami

odmiennej płci. No, a jeśli nie chcą być dyskretni, to mogą zawsze uciec.

— Uciec? Dokąd?

— Jest takie małe osiedle daleko na północy, nieopodal Fresno. Osiemdziesiąt pięć procent „gorących”. Oczywiście jest to podróż niebezpieczna. Bardzo mało wody po drodze. A jeśli ich złapiemy, zakopujemy ich żywcem w ziemi. Lecz jeśli tylko zdecydują się zaryzykować, mają pełną swobodę postępowania, zgodną z własnymi upodobaniami. Istnieje wreszcie instytucja kapłaństwa. — Arcybiskup czyni w tym momencie znak roarów. — Każdy zdolny chłopiec, który wykazuje wcześniej objawy gorącego temperamentu, ma przyszłość zapewnioną: robimy z niego księdza.

Upływa kilka sekund, zanim dr Poole ośmiela się zadać następne pytanie.

— Czy pan ma na myśli, że...?

— Otóż właśnie to — odpowiada Arcykapłan. — Na chwałę Królestwa Piekieł. Żeby już nie przytaczać względów czysto praktycznej natury. Koniec końców, społeczeństwo musi być w jakiś sposób zarządzane, a oczywiście ludzie świeccy nie mają o tym zielonego pojęcia.

Odgłosy dochodzące z areny zdają się potwierdzać, że nadszedł moment szczytowego napięcia.

— Obrzydliwe! — wykrzykuje Arcybiskup falsetem. — A to jeszcze jest nic wobec tego, co się będzie działo po tym. O jakże wdzięczny jestem, że zostałem uchroniony od takiej hańby! To Wróg Rodu Ludzkiego wstępuje w ich obrzydliwe ciała. Zechce pan łaskawie popatrzeć tam tylko. — Pociąga ku sobie doktora i pokazuje mu coś swym grubym, wskazującym palcem.

— O tam, na lewo od Wielkiego Ołtarza, z tym małym rudowłosym naczyniem. To jest Szef. Szef! — powtarza dobitnie ze wzgardą. — I jakimż to on może być władcą w ciągu następnych dwóch tygodni?

Nie ulegając pokusie czynienia uwag o człowieku, który chwilowo jest w niełasce, ale który odzyska ponownie swą potęgę, dr Poole reaguje tylko nieznacznym nerwowym uśmiechem.

— Tak, on rzeczywiście wydaje się zwolniony od trosk kierowania Państwem.

NARRATOR

Ale dlaczego, dlaczego właśnie on ma sobie folgować z Loolą? Podły brutal. A ona nierządnicą! Ale jest przynajmniej jedna pocięcha: mężczyzna nieśmiały, dręczony niezaspokojonym pożądaniem, upewnia się, że Loola zachowuje się przystępnie i swobodnie, co w Nowej Zelandii, w kołach akademickich, a szczególnie w bezpośrednim sąsiedztwie Matki zdawało się być niemożliwe. O tym można było tylko marzyć. A tutaj nie tylko Loola jest przystępna. To samo daje się zauważyć w postępowaniu i w słownictwie u owych młodych mulatek, u Flossie, u pulchnej teutonki z włosami barwy miodu, u tamtej ogromnej ormiańskiej matrony, u małej jasnowłosej dziewczyny o wielkich niebieskich oczach...

— Tak, to jest nasz Szef — mówi z goryczą Arcybiskup. — Dopóki on i inne świny będą tkwić w opętaniu, rządzić będzie Kościół.

Przesadnie kulturalny doktor Poole opanowuje prężną chęć przebywania sam na sam z Loolą, a nawet z którąkolwiek inną dziewczyną, i wypowiada stosowną uwagę na temat Władzy Duchowej i Potęgi Doczesnej.

Arcybiskup zbywa to milczeniem.

— No tak — mówi po chwili żwawym głosem — już czas na mnie, trzeba się wziąć do roboty.

Wzywa akolitę, który wręcza mu łożowy kaganek, po czym rusza w kierunku ołtarza po prawej stronie kaplicy. Na ołtarzu stoi pojedyncza żółta świeca z pszczelego wosku, przeszło metrowej wysokości i nieproporcjonalnie gruba. Arcykapłan przyklęka, zapala ją, czyni znak rogów, po czym wraca na miejsce, a doktor Poole szeroko otwartymi ze strachu i podniecenia oczami obserwuje trwającą na arenie uroczystość.

— Niech pan stanie z boku, proszę.

Dr Poole posłusznie usuwa się.

Akolita odsuwa najpierw jedne drzwi, a następnie

drugie. Arcybiskup postępuje kilka kroków naprzód, staje pośrodku przejścia i dotyka palcami połączonych rogów swej tiary. Od strony Głównego Ołtarza, na którego stopniach stoją muzykanci, dolatuje przeraźliwie ostry dźwięk fletów z wydrażonych puszczeli. Zgiełk tłumy zamiera, ciszę przerywają tylko w pewnych momentach dzikie ryki radości lub zwierzęcy skowyt bólu zbyt gwałtownego, by dał się opanować. Kapłani intonują antyfonalne śpiewy.

Chór I

Oto jest czas,

Chór II

Gdyż Belial jest bezlitosny,

Chór I

Czas zakończyć Czas.

Chór II

W chaosie rozkoszy.

Chór I

Oto jest czas,

Chór II

Gdyż Belial jest w naszej krwi,

Chór I

Czas rodzenia się w was

Chór II

Owych Innych i Obcych,

Chór I

Świerzbu i liszaju,

Chór II

I Robaka napęczniałego.

Chór I

Oto jest czas,

Chór II

Gdyż nienawidzi was Belial,

Chór I

Czas by Dusza umarła,

Chór II

I Osobowość przepadła,

Chór I

Skazana przez pożądanie,

Chór II

A przyjemność jest katem;

Chór I

Czas całkowitego

Chór II

Triumfu Wroga

Chór I

Aby Pawian stał się panem

Chór II

By płodzone były monstra.

Chór I

Nie wasza, lecz Jego to wola,

Chór II

Iż wszyscy przepaść możecie na wieki.

Z tłumu unosi się donośne, jednogłośnie *Amen*.

Niechaj na was spadnie klątwa Jego — intonuje piskli-

wym głosem Arcybiskup, po czym przechodzi kilka kroków i zasiada na tronie obok ołtarza. Z zewnątrz dobiegają okrzyki, stają się coraz to głośniejsze, wreszcie do przybytku wpada cizba korybantów. Rozbiegają się wokół ołtarza i zrywając sobie wzajemnie fartuchy ciskają je na piętrzącą się stertę u stóp arcybiskupiego tronu. „NIE, NIE, NIE”, a po każdym „NIE” następuje pełen triumfu okrzyk „TAK!” poparty całkiem niedwuznacznymi gestami wobec najbliższego osobnika płci odmiennej. Nieco dalej stojący kapłani monotonnymi głosami powtarzają słowa antyfony: „Nie wasza, lecz Jego to wola, iż wszyscy przepaść możecie na wieki”.

Bliskie ujęcie. Twarz doktora Poole’a, który z kąta kaplicy obserwuje przebieg wydarzeń.

Znów widzimy tłum. Obserwujemy, jak jedna po drugiej pojawiają się i znikają bezmyślne, ekstatyczne twarze. Nagle ukazuje się twarz Looli: jej oczy błyszczą, wargi są rozchylone, dołki na policzkach pełne życia. Odwraca głowę, chwyta spojrzenie doktora Poole’a.

— Alfie! — wykrzykuje.

Jej głos i twarz wywołują równie entuzjastyczny odzew:

— Loola!

Padają sobie w objęcia. Mijają sekundy, a oni stoją namiętnie przytuleni. Podkład muzyczny tworzą łagodne, rozbrzmiewające miękko tony wielkopostnej muzyki z Parsifala. Wreszcie twarze rozdzielają się. Kamera odjeżdża.

— Prędko, prędko!

Loola chwyta jego ramię i ciągnie w stronę ołtarza.

— Fartuszek — szepce.

Dr Poole spogląda na jej fartuszek, po czym czerwieniąc się jak gdyby pod kolor naszytych na nim liter NIE, odwraca oczy.

— To wygląda tak... tak mało ozdobnie — wybąkuje.

Wyciąga rękę, cofa ją, po czym znów zmienia decyzję. Ujmując rozek fartucha pomiędzy kciuk i palec wskazujący, wykonuje serię słabiutkich, bezowocnych szarpnięć.

— Mocniej! — krzyczy Loola — znacznie mocniej!

Dr Poole szarpie z gwałtownością niemal szaleńca, gdyż zrywa nie tylko fartuch, ale również i wszystkie własne opory, konwenanse, całe matczyne wychowanie. Szwy puszczają znacznie łatwiej niż przypuszczał, tak że omal się nie przewraca. Odzyskuje równowagę. Stoi z wyrazem zafrasowania i cielecym wzrokiem spogląda to na szkarłatną naszywkę z szóstym przykazaniem, to znów na śmiejącą się twarz Looli.

Obraz przesuwają się tam i z powrotem: NIE, dołki na policzkach, NIE, dołki na policzkach, NIE...

— Tak! — krzyczy triumfująco Loola — Tak!

Wyrywając fartuszek z jego dłoni rzuca go pod tron, następnie z okrzykiem „Tak!” i jeszcze raz „Tak!” zrywa naszywki ze swych piersi i zwracając się w stronę ołtarza, oddaje pokłon świecy.

Szerokie ujęcie ukazuje tło za plecami Looli. W polu widzenia kamery pojawia się nagle podniecony, starszy mężczyzna o szpakowatej brodzie, który dopada Loolę od tyłu, zdiera obie naszywki NIE z siedzenia jej samodziiałowych pantalonów i zaczyna wlec ją do drzwi wyjściowych.

Dziewczyna aplikuje mu mocny policzek, energicznym pchnięciem wyrywa się napastnikowi i po raz drugi rzuca się w ramiona doktora.

— Tak? — pyta szeptem.

W odpowiedzi słyszy równie namiętne:

— Tak!

Całują się i uśmiechają do siebie kusząco, po czym ruszają w ciemność, która rozpościera się tuż za drzwiami. W momencie gdy mijają tron, Arcybiskup pochyla się nieco, uśmiecha ironicznie i klepiąc doktora po ramieniu pyta:

— A co z moją lornetką polową?

Na ekranie scena nocna. W metalicznym blasku księżycy snują się atramentowo czarne cienie. Na dalszym planie widnieją potężne ruiny Los Angeles County Museum. Miłośnię spleceni, Loola i dr Poole pojawiają się przez chwilę na ekranie, następnie nikną równie nagle w nie-

przeniknionym mroku. Sylwetki mężczyzn napastujących kobiety i kobiet rzucających się na mężczyzn, pojawiają się przez moment i również znikają. Przy akompaniamencie wielkopostnej muzyki dobiegają do nas odgłosy jęków i stękań, gwałtownie wykrzykiwanych sprośności i przeciągle skowyty rozkoszy.

NARRATOR

Weźcie pod uwagę ptaki. Jakaż delikatność w miłości! Jakaż rycerskość niedzisiejszej daty! Mimo że hormony wytwarzane przez organizm kury noski pozwalają na odczuwanie seksualnych emocji, to ich działanie nie jest ani tak intensywne, ani tak krótkotrwałe jak działanie hormonów wytwarzanych przez jajniki ssaków w okresie rui. Co więcej — z pewnych względów kogut nie jest w stanie zaspokoić swej żądzy przemocą, jeżeli kura nie wykazuje należytej ochoty. Stąd też owe kolorowe upierzenie i instynkt dworności rozpowszechniony wśród ptaków-samców. I stąd znamienne braki owych uroczych cech u ssaków-samców. Ale jeśli idzie o ssaki, pożądanie miłosne samic i ich atrakcyjność dla odmiennej płci są całkowicie zdeterminowane chemicznie. Jakiż więc byłby sens i jaka konieczność wymagania jeszcze piękna i wstępnych czułości ze strony samców?

U ludzi każdy dzień w roku jest potencjalnie okresem parzenia się. Dziewczęta nie są chemicznie predestynowane do tego, aby w pewnych określonych, acz nielicznych dniach miały akceptować zbliżenie z każdym napotkanym mężczyzną. Ich ciała wytwarzają hormony w dostatecznie małych ilościach, by pozostawić nawet owym obdarzonym największym temperamentem pewną swobodę wyboru. To powód, dla którego mężczyzna, w przeciwieństwie do swych kolegów — samców z rodziny ssaków, był niegdyś zawsze zalotnikiem. Ale obecnie promienie gamma zmieniły to wszystko. Dziedziczny wzorzec fizycznego i psychicznego usposobienia oraz działanie mężczyzny ma teraz odmienną formę. Dzięki najwyższemu Triumfowi Wiedzy Współczesnej, pociąg seksualny stał się zjawi-

skiem sezonowym, flirt został wyeliminowany przez ruję, a chemiczny przymus spółkowania z kobietą zniósł dworność, tkliwość i w ogóle samą miłość.

W tym momencie z półmroku wynurzają się promieniująca z podniecenia Loola oraz mocno rozczochrany doktor Poole. Równocześnie pojawia się także sunący wielkimi krokami jakiś chwilowo pozbawiony partnerki, otyły mężczyzna. Na widok Looli zatrzymuje się, rozdziewia usta, oczy mu się rozszerzają i zaczyna ciężko sapać.

Dr Poole rzuca na obcego krótkie spojrzenie, po czym zwraca się nerwowo do swej towarzyszki: – Myślę, że byłoby dobrze, gdybyśmy poszli w tę stronę...

Nieznajomy bez słowa rusza na niego i wymierza cios, po którym dr Poole nieomal wyfrunął w powietrze, następnie chwyta w ramiona Loolę. Ta opiera się przez chwilę, wkrótce jednak składniki chemiczne we krwi narzucają swój Imperatyw Kategoryczny, więc przestaje walczyć.

Wydając odgłos tygrysa rzucającego się na jedzenie, mężczyzna porywa ją na ręce i unosi ze sobą, aby zniknąć w półmroku.

Dr Poole, który zdążył się już podnieść z ziemi, próbuje ich gonić i zemścić się, aby uratować nieszczęsną ofiarę. Później jednak rozsądek i skromność hamują jego krok. Gdyby pobiegł za nimi, bóg raczy wiedzieć, co by się stało... A poza tym ów człowiek, owa bryła mięśni i kości... W ogóle byłoby może rozsądniej... Dr Poole zatrzymuje się pełen wahania nie wiedząc, co robić. Nagle dwie piękne młode mulatki wybiegają z gmachu County Museum i niemal równocześnie zarzucają mu brunatne ramiona na szyję i obsypują twarz pocałunkami.

– Ty wielki, cudowny p... draniu – wyszeptują ochrypłym unisono.

Przez chwilę dr Poole przypomina sobie zakazy Matki, waha się pomiędzy wiernością wobec Looli, taką jak opisują ją wszyscy poeci i powieściopisarze, a pełnymi i gorącymi faktami żywymi. Po mniej więcej czterech sekundach moralnego konfliktu wybiera, jak mogliśmy się spodziewać, to drugie. Uśmiecha się, odwzajemnia po-

całunki, mruczy słowa, które, gdyby zostały usłyszane przez pannę Hook, co najmniej wstrząsnęłyby nią, a u jej Matki chyba spowodowałyby nagłą śmierć. Obejmuje oba ciała ramionami, pieszcząc równocześnie piersi obu dziewczyn onieśmielonymi rękami, które robiły to dotąd tylko w najskrytszych marzeniach. Odgłosy łączenia się ciał najpierw przybierają na sile, a potem cichną. Przez chwilę trwa kompletna cisza.

Na ekranie pojawia się, krocząc majestatycznie w otoczeniu świty archimandrytów, diakonów i akolitów, Arcybiskup z patriarchą Pasadeny. Na widok doktora Poole'a i mulatek zatrzymują się. Z grymasem odrazy i niesmaku patriarcha spluwa na ziemię. Bardziej tolerancyjny Arcybiskup uśmiecha się tylko ironicznie.

– Doktorze Poole! – piszczy osobliwym falsetem.

Dr Poole z poczuciem winy reaguje tak, jak gdyby usłyszał głos Matki: odpycha od siebie ruchliwe ręce i odwracając się w stronę Arcybiskupa, usiłuje wyglądać kompletnie niewinnie. „Owe dziewczęta?” – zdaje się mówić jego uśmiech – „kim są owe dziewczęta? Cóż, ja nawet nie znam ich imion. Myśmy właśnie gawędzili sobie o roślinach zarodnikowych, ot i wszystko”.

– Ty wielki, cudowny... – zaczyna znów ochryply głos.

Dr Poole kaszle głośno i uwalnia się z uścisku, który towarzyszy miłosnemu okrzykowi.

– Niech się pan nami nie krępuje – odzywa się Arcybiskup pobłażliwie. – Ostatecznie Dzień Beliala zdarza się tylko raz w roku.

Podchodzi bliżej, dotyka rękami złoconych rogów swej tiary i kładzie je na głowie doktora.

– Cudownie szybkie jest twoje nawrócenie – przemawia już teraz z patosem zawodowego kaznodziei. – Tak, niemal cudowne – po czym, zmieniając ton głosu, dodaje: – Przy okazji chciałbym powiedzieć, że mieliśmy nieco kłopotów z pańskimi przyjaciółmi z Nowej Zelandii. Dziś po południu ktoś wyszedł całą grupę w Beverly Hills. Domyślam się, że szukali pana.

— Tak, tak przypuszczam.
— Lecz oni pana nie znajdują — dorzuca słodkim głosem Arcybiskup. — Jeden z naszych inkwizytorów udał się wraz z grupą pomocników, aby się nimi zająć.

— I co się stało? — zapytuje z ciekawością dr Poole.

— Nasi ludzie zrobili zasadzkę i ostrzelali ich z łuków. Jeden został zabity, a reszta uciekła zabierając jednego rannego. Nie przypuszczam, abyśmy byli ponownie przez nich niepokojeni. Ale na wszelki wypadek... — kiwa na dwóch swoich pomocników. — Słuchajcie — mówi do nich — żeby mi nie było jakiegoś porwania i żeby nie było ucieczki. Jesteście za to odpowiedzialni, rozumiano?

Obaj pomocnicy przytakują skinięciem głowy.

— A teraz — kończy Arcybiskup, zwracając się ku doktorowi — zostawiamy panu pełną swobodę płodzenia tylu małych potworków, ile tylko pan zdoła.

Kiwa ręką, poklepuje doktora Poole'a po policzku, ujmuje patriarchę pod ramię i odchodzi wraz z całym orszakiem.

Dr Poole patrzy za odchodzącymi, po czym rzuca niepokojne spojrzenie na dwóch strażników.

Brunatne ramiona obejmują go znów za szyję.

— Ty wielki, cudowny...

— Nie, naprawdę... Nie publicznie... Nie przy tych tu ludziach!

— Cóż to za różnica?

I zanim odpowie, dwa ciemne, ochryple i pachnące piżmem fakty cielesne splatają się znów wokół niego w mocnym uścisku. Niczym Laokoon, na poły opierający się, na poły zaś błogo poddający się oplotom, zostaje wprowadzony w gęstniejący półmrok. Dwaj strażnicy równocześnie spluwają z obrzydzeniem.

NARRATOR

L'ombre était nuptiale, auguste et solennelle

Przerywa mu raptowny odgłos przeraźliwego kociego wrzasku.

NARRATOR

Kiedy spoglądam w głąb rybnych sadzawek w moim ogrodzie, (I nie tylko w moim, gdyż każdy ogród jest usiany dziurami, Po węgorzach i odbitymi księżycami), wydaje mi się,

Że widzę c o ś, uzbrojonego w grabie, co zdaje się

Uderzać we mnie, we mnie — świętego, we mnie — boskiego!

Jak nudną jednak rzeczą jest poczucie winy!

Jak nudną, w tym wypadku, świadomość niewinności!

Cóż w tym dziwnego, iż horror stawów rybnych

Popycha nas ku grabiom? A ja — osoba pełna niepokoju.

W mrokach bagna lub w metalicznym księżycu blasku

Odkrywam z ulgą te inne niż ja istnienia,

Ślepe w ciemnościach lub promieniujące.

Na ekranie obraz doktora Poole'a, śpiącego na piasku przywianym do wysokiego betonowego muru. Dwadzieścia stóp opodal śpi również jeden ze strażników, drugi zajęty jest lekturą antycznego egzemplarza *Forever Amber*. Słońce stoi już wysoko na niebie. Zbliżenie na małą zieloną jaszczurkę pełzającą po jednej z szeroko rozrzuconych rąk doktora, który nie porusza się jednak, leży jakby martwy.

NARRATOR

Oto również pogrążona w błogostanie istota kogoś, kto z całą pewnością nie jest Alfredem Poole, doktorem nauk. Gdyż sen jest jednym z podstawowych warunków Inkarnacji i pierwszym instrumentem boskiej obecności. Śpiąc, przestajemy żyć po to, aby mógł z nas żyć (co za błogosławieństwo!) jakiś bezimienny Inny, który korzysta z tej okazji, by przywrócić zdrowie umysłowi i przynieść ulgę udręczonemu i osłabionemu ciału. Od obudzenia się aż do zaśnięcia, każdy z nas gwałci naturę i przeczy istnieniu treści duchowej. Lecz nawet najzłośliwsza

małpa staje się w końcu zmęczona swoimi sztuczkami i musi zasnąć. A podczas snu Miłosierdzie mimo woli ocala ją przed samobójstwem, które na jawie usiłowała z szaleńczym uporem popełnić. Po czym znów słońce wschodzi i nasza małpa budzi się jeszcze raz, aby korzystać z nieprzymuszonej własnej woli. Albo rozpocznie następny dzień pełen popisów i sztuczek, albo zacznie poznawać siebie, osiągając własne wyzwolenie.

Salwa śmiechu podnieconych kobiet przerywa wypowiedź Narratora. Śpiący porusza się. Przy drugim, jeszcze głośniejszym wybuchu śmiechu budzi się zupełnie i siada. Oszołomiony rozgląda się dookoła, nie zdając sobie sprawy gdzie się znajduje. Znów ten natrętny śmiech. Odwraca głowę i słucha. Dalekie ujęcie. Kamera pokazuje ciemnoskóre przyjaciółki poznane poprzedniej nocy. Wylaniają się one w pełnym biegu spoza piaszczystego pagórka i wpadają w ruiny Muzeum Okręgowego. Krok w krok za nimi biegnie Szef. Cała trójka znika z pola widzenia.

Śpiący dotychczas strażnik budzi się również i pyta swego towarzysza:

– Co tu się dzieje?

– Zwykła rzecz – odpowiada drugi, nie odrywając oczu od *Forever Amber*.

Gdy to mówi, przeraźliwe piski roznoszą się głośnym echem po wysokich sklepieniach muzealnych sal. Strażnicy spoglądają na siebie w milczeniu, następnie równocześnie jak na komendę spluwają.

Znów ujęcie na doktora Poole'a.

– Mój Boże! – wzdycha głośno – mój Boże! – i zakrywa twarz rękami.

NARRATOR

Przesyt późnego poranka połączcie z wyrzutami sumienia i zasadami wyssanymi z mlekiem Matki; dodatkowo nierzadko wzmacnianymi na kolanach (z głową na dół i starannie odwiniętymi połami koszuli). Przypomnij-

cie sobie również klapsy, aplikowane nabożnie i ze smutkiem, ale wspomniane potem z pewną dozą ironii jako pretekst do niezliczonych erotycznych marzeń na jawie, z których każde wywoływało wyrzuty sumienia, a każdy znów wyrzut sumienia przywodził myśl o karze i wszystkich kojarzących się z nią doznaniach zmysłowych. I tak dalej, w nieskończoność. Tak jak powiadam, pozwólcie razem połączyć się tym wszystkim odczuciom, a rezultatem tego będzie prawdopodobnie religijne nawrócenie się. Lecz nawrócenie się na co? Najbardziej nieświadomy tego, o czym najmocniej jest przekonany — nasz biedny przyjaciel również nie zdaje sobie z tego sprawy.

A oto zjawia się ostatnia chyba osoba, która mogłaby pomóc w znalezieniu odpowiedzi na to pytanie.

Gdy Narrator wypowiada ostatnie zdanie, na ekranie pojawia się Loola.

— Alfie! — wykrzykuje radośnie. — Szukałam cię!

Szybki najazd obiektywem na obu strażników, którzy przyglądają się jej przez chwilę z wyraźnym niesmakiem ludzi wstrzemięźliwych, po czym odwracają się plecami i spluwają.

Tymczasem dr Poole rzuca krótkie spojrzenie na owe „rysy wyrażające zaspokojenie pożądań” i zawstydzony odwraca oczy.

— Dzień dobry — mówi ze zdawkową grzecznością — mam nadzieję, że... że spałaś dobrze?

Loola siada obok niego, otwiera skórzaną torbę, którą nosi na ramieniu, wyciąga pół bochenka chleba i kilka dużych pomarańcz.

— Nikt nie ma głowy do tego, aby zajmować się w tym okresie gotowaniem — wyjaśnia. — To jest tak, jakby trwał jeden wielki piknik, aż do nadejścia chłodnego sezonu.

— Oczywiście, oczywiście — przytakuje dr Poole.

— Musisz być strasznie głodny — ciągnie Loola. — Po ostatniej nocy...

Uśmiecha się do niego, a dołki znów pojawiają się na jej policzkach, jak gdyby wyszły z ukrycia.

Doktorowi robi się dziwnie gorąco, czerwieni się z zażenowania i próbuje gwałtownie zmienić temat rozmowy.

— Piękne są te pomarańcze — odzywa się po chwili.

— W Nowej Zelandii nie udają się takie, chyba tylko w czasie wyjątkowo...

— Masz! — przerywa mu Loola i wręcza gruby kawałek chleba. Dla siebie odrywa drugi kawałek i wgryza się w niego mocnymi, białymi zębami.

— Dobry jest — odzywa się z pełnymi ustami. — Czemu nie jesz?

Dr Poole zdaje sobie sprawę, że jest istotnie przeraźliwie głodny, lecz zgodnie z regułami dobrego tonu nie okazuje tego zbyt wyraźnie i z wdziękiem wybrednisią nadgryza delikatnie skórkę chleba.

Loola przytula się do niego i opiera głowę na jego ramieniu.

— Ale była zabawa, prawda Alfie? — Odgryza dalszy kęs chleba i nie czekając na odpowiedź, ciągnie dalej. — Lepsza z tobą niż z innymi. Czy ty też tak myślisz?

Zagląda mu w oczy z czułością.

Najazd kamery. Twarz doktora wyraża prawdziwy niesmak.

— Alfie! — krzyczy Loola — co się stało?

— Może byłoby lepiej — odzywa się dr Poole wreszcie — gdybyśmy mówili o czym innym.

Loola prostuje się i przygląda mu się przez kilka chwil uważnie i w milczeniu.

— Ty za dużo myślisz — mówi wreszcie. — Nie powinieś myśleć. Jeśli będziesz myślał, przestanie to być zabawą. — Twarz jej raptownie pochmurnieje. — Jeśli zaczniemy rozmyślać — ciągnie dalej niskim głosem — to wszystko okaże się straszne. Jest rzeczą przerażającą dostać się w ręce Szatana Żywego. Kiedy sobie przypomnę, co oni zrobili Polly i jej dziecku...

Drży, oczy jej napełniają się łzami, odwraca głowę.

NARRATOR

Znów te łzy, świadectwo charakteru; ich widok wzbudza sympatię, która jest silniejsza od poczucia winy.

Zapominając o strażnikach dr Poole przyciąga Loolę do siebie, łagodnym szeptem i czułymi pieścizotami uciśsza ją i pociesza jak płaczące dziecko. Udaje mu się to tak dobrze, że po upływie paru minut leży ona w jego ramionach już zupełnie spokojna. Wzdychając błogo, otwiera oczy, spogląda na niego i uśmiecha się z tkliwością nieco kontrastującą z uroczą figlarnością dołków na policzkach.

— Teraz mam to, o czym zawsze marzyłam.

— Naprawdę?

— Ale to się nigdy nie zdarzało; to się nie mogło nigdy zdarzyć. Dopóki tyś się nie zjawił... — Głaszcze lekko jego policzek. — Chciałabym, żeby broda ci nie rosła — dodaje — bo będziesz wtedy podobny do tamtych. Ale ty nie jesteś taki jak oni, ty jesteś zupełnie inny.

— Nie tak znowu we wszystkim inny — zauważa dr Poole.

·Nachyla się i całuje ją w powieki, w szyję, w usta — po czym prostuje się znów i spogląda na nią z triumfującą męskością.

— Nie jesteś inny w tamtym, ale inny w tym — definiuje Loola i poklepuje go znów po policzku. Ja i ty siedzimy razem, rozmawiamy i jesteśmy szczęśliwi, ponieważ ty jesteś ty, a ja jestem ja. To się tutaj nie zdarza. Z wyjątkiem... z wyjątkiem. Urywa. Jej twarz pochmurnieje.

— Czy ty wiesz, co się staje z ludźmi, których nazywają „gorącymi”? — pyta szeptem.

Tym razem dr Poole protestuje przeciwko nadmiarowi refleksji. Słowa swoje popiera czynem.

Zbliżenie, najazd kamery: oboje w uścisku. Potem plan rozszerza się i ukazują się strażnicy obserwujący z obrzydzeniem tą scenę. W momencie gdy obaj spluwają, na ekranie pojawia się pomocnik Arcybiskupa.

— Rozkazy od Jego Eminencji — obwieszcza surowo i czyni znak rogow. — Zadanie skończone. Musimy go odstawić z powrotem do Kwatery Głównej.

Przenosimy się na pokład szkunera „Cantenbury”. Właśnie z szalupy wciągają na pasach rannego marynarza, w łopatkę którego tkwi strzała. Na pokładzie leżą dwie dalsze ofiary łuczników z Kalifornii — dr Cudworth z raną lewej nogi oraz panna Hook. Strzała utkwiała jej głęboko w plecach. Twarz pochylającego się nad nią lekarza jest poważna.

— Morfiny! — woła do swego asystenta. — Potem, tak szybko jak tylko się da, znieśmy ją na dół, na stół operacyjny.

Teraz słyhać tylko wydawane rozkazy. Po chwili dochodzi hałas uruchamianej maszyny pomocniczej i klekot nawijanego na kabestan łańcucha kotwicznego.

Ethel Hook otwiera tymczasem oczy i rozgląda się dookoła. Na jej bladej twarzy pojawia się rozpacz.

— Chyba nie zamierzacie odплыnąć bez niego? Wy tego nie możecie zrobić, nie możecie! — Czyni wysiłek, by unieść się na noszach, lecz każdy ruch jest tak bolesny, że z jękiem opada z powrotem.

— Spokojnie, spokojnie — powtarza łagodnym głosem lekarz, nacierając jej ramię spirytusem.

— Ależ on może jeszcze żyć — słabym głosem zawodzi panna Hook. — Nie wolno go opuścić, trzeba uratować.

— Trzymają go ciągle — mówi doktor i biorąc strzykawkę z rąk asystenta, wbija igłę w ciało.

Łoskot łańcucha kotwicznego jest coraz głośniejszy i głośniejszy, ale nagle obraz traci ostrość, aż wreszcie ginie zupełnie, a my wracamy ponownie do Looli i doktora Poole’a.

— Jestem głodna — mówi Loola podnosząc się i siadając. Sięga po swoją torbę, wyjmując z niej resztę chleba, łamie go na dwie części; większą daje Alfredowi, sama zaś je mniejszy kawałek. Kończy przetykać pierwszy kęs i już ma się zabrać do następnego, gdy nagle przestaje jeść. Odwraca się do partnera, ujmuje jego rękę i całuje ją.

— Cóż to ma znaczyć? — pyta zdziwiony.

Loola wzrusza ramionami.

— Nie wiem. Akurat taką miałam potrzebę. — Je da-

lej chleb. Po namyśle odwraca się do niego z olśnieniem na twarzy, takim jakby właśnie dokonała doniosłego i nieoczekiwanego odkrycia.

– Alfie – mówi uroczystym tonem – wierzę w to, że nigdy nie powiem „Tak!” nikomu innemu tylko tobie.

Dr Poole pochyla się ku niej, ujmuje jej rękę i przyciska mocno do swego serca.

– Czuję się, jakbym dopiero teraz odkrył, czym jest właściwie życie – wyznaje ze wzruszeniem.

– Ja też – odpowiada szeptem Loola.

Opiera się o niego, on zaś, niczym biedak, który musi jeszcze raz przeliczyć swoje skarby, zanurza palce w jej włosy, oddziela powoli każde ich pasemko, wreszcie unosi delikatnie jeden niesforny lok i pozwala mu opaść z powrotem na czoło.

NARRATOR

Tak więc ci dwoje, w wyniku dialektyki uczuć odkryli na swój użytek ową syntezę pierwiastków chemicznych i osobowych, której nadajemy zazwyczaj nazwę monogamii i miłości romantycznej. W jej wypadku hormony eliminowały osobowość, w jego wypadku osobowość nie mogła pogodzić się z hormonami. Ale teraz rozpoczyna się proces scalenia.

Dr Poole sięga do kieszeni i wyciąga z niej mały tomik ocalony wczoraj przed spalaniem w piecu piekarniczym. Otwiera go, przerzuca kilka stron i zaczyna głośno czytać.

*Gorący zapach zdaje się unosić
Z jej lekkiej szaty i luźnych włosów
A tam, gdzie pęd jej biegu
Rozsnuwa sploty ciężkiego warkocza
Słodycz przesyca słabe wiatru tchnienie;
Duszę zaś przenika woń jakaś dzika i niepojęta,
Niczym ognista rosa spływająca
W paki ściętych mrozem kwiatów.*

- Co to jest? – pyta Loola.
- To Ty! – odpowiada pochylając się nad nią i całuje jej włosy. – „Duszę zaś przenika” – „szepce” – woń dzika jakaś i niepojęta”. „Duszę zaś przenika...” – powtarza jeszcze raz.
- Co to jest dusza? – pyta Loola.
- Hm... waha się przez chwilę zakłopotany, po czym postanawia, by sam Shelley udzielił odpowiedzi na to pytanie, czyta więc dalej:

*Spójrz tam, gdzie stoi ona – ów kształt
śmiertelny
Pelen życia, miłości, światła i boskości,
I ruchu, który zmieniać się może
Lecz nigdy umrzeć nie zdoła,
Ów obraz Wieczności jakby jaśniejącej,
Cień jakichś złotych snów i marzeń,
Chwała, opuszczająca najwyższe nieba sfery,
Księżyca Miłości ulotne odbicie...*

- Ależ ja nic z tego nie rozumiem – skarży się Loola.
- A do dziś – mówi patrząc na nią z uśmiechem doktor Poole – i ja nie rozumiałem z tego ani słowa.

Przenosimy się w czasie. Dwa tygodnie później znajdujemy się u wejścia do Satanicum. Kilkaset brodatych mężczyzn i niechlujnie wyglądających kobiet stoi w dwóch rzędach olbrzymiej kolejki, oczekując, by wejść do świątyni. Kamera przesuwa się po tępych i brudnych twarzach, wreszcie zatrzymuje się na Looli i doktorze Poole, którzy właśnie wchodzą przez rozsuwane drzwi.

Wewnątrz panuje mrok i cisza. Nimfy i buńczuczni satyrowie sprzed kilku dni suną z trwogą dwójkami w kierunku ołtarza. Potężna świeca już teraz nie płonie, jest przykryta cynowym kapturkiem. U stóp pustego tronu arcybiskupiego leży stos rozrzuconych kartek z Szóstym Przykazaniem. W miarę jak procesja posuwa się wolno wokół ołtarza, archimandryta, pełniący obowiązki stróża

moralności publicznej, wręcza każdemu mężczyźnie fartuch, zaś każdej kobiecie fartuch i cztery okrągłe łąty.

– Wyjście bocznymi drzwiami – powtarza każdemu z osobna.

Gdy przychodzi ich kolej, dr Poole i Loola również posłusznie wychodzą bocznymi drzwiami. Na dworzu, w słonecznym blasku grupa akolitów zaopatrzonych w igły i nici zajęta jest przymocowywaniem fartuchów oraz przyszywaniem znaków ostrzegawczych z tyłu na spodniach i z przodu na koszulach kobiet.

Obiektyw zatrzymuje się na Looli. Trzech młodych seminarzystów w sutannach zagradza jej drogę w momencie, gdy wychodzi na dwór. Wręcza pierwszemu z nich swój fartuszek, pozostałym oddaje naszywki. Wszyscy trzej zabierają się równocześnie do roboty i uwijają się z niezwykłą szybkością. „NIE, NIE, NIE”.

– Obrócić się, proszę.

Loola wręcza swą ostatnią naszywkę i posłusznie się obraca. Podczas gdy specjalista od fartuchów odchodzi, by zająć się doktorem Poole'm, pozostali dwaj tak zręcznie manipulują igłami, że w niecałą minutę Loola jest oznaczona również z tyłu znakami zakazu.

– Tu!

– I tam!

Obaj klerycy – krawcy cofają się, pozwalają obejrzeć z bliska ich rękodzielniczy wyczyn. „NIE”, „NIE”. Akolici tymczasem demonstrują swoje uczucia przez jednoczesne splunięcie, po czym odwracają się do drzwi kaplicy.

– Następna pani, proszę.

Z rezygnacją na twarzach dwie nierozłączne młode mulatki podchodzą równocześnie.

Ponownie twarz dr Poole'a. Odziany w fartuch, z dwutygodniowym zarostem rusza do czekającej Looli.

– Tędy, proszę – odzywa się piskliwy głos.

W milczeniu zajmują miejsce na końcu innej kolejki. Dwieście lub trzysta zrezygnowanych osób oczekuje na przydział zadań przez Głównego Pomocnika Wielkiego Inkwizytora, kierującego robotami publicznymi. Dygni-

tarz ów, noszący trzy wielkie rogi, odziany w efektowną białą sutannę, siedzi w otoczeniu świty dwurożnych akolitów przy dużym stole zastawionym metalowymi kartotekami, które ocalały w biurach Towarzystwa Ubezpieczeń na Życie.

Seria zdjęć montażowych pokazuje w ciągu dwudziestu sekund powolne, beznadziejnie długie oczekiwania Looli i doktora Poole'a w kolejce do potężnego namiestnika władzy. Teraz dotarli wreszcie do celu. Widzimy Pomocnika Nadzwyczajnego Wielkiego Inkwizytora w chwili, gdy poleca doktorowi zameldować się u dyrektora produkcji żywnościowej w biurze, które znajduje się w ruinach budynku Administracji Uniwersytetu Południowej Kalifornii. Ten pan zadba o to, by botanik otrzymał do dyspozycji właściwe laboratorium, kawałek ziemi na uprawy doświadczalne, a nawet jakichś czterech robotników do prac ręcznych.

— Do czterech robotników — powtarza kapłan — jakkolwiek w normalnych czasach...

Nagle i bez pozwolenia włącza się do rozmowy Loola.

— Och, pozwólcie mi być jednym z tych robotników! Proszę!

Pomocnik Nadzwyczajny Wielkiego Inkwizytora patrzy na nią zimno, miażdżąc wzrokiem, po czym zwraca się do swych ministrantów:

— A któż to jest, powiedzcie mi proszę, to młode naczynie Nieczystego Ducha?

Jeden z kleryków wyciąga kartę Looli z akt i czyta: Lat osiemnaście, dotychczas niepłodna; o wzmiankowanym naczyniu doniesiono, iż utrzymywała pewnego roku, poza sezonem, stosunki z pewnym notorycznym „gorącym”, który został później zlikwidowany, gdy próbował zbiec, by uniknąć aresztowania. Niczego wszakże nie dowiedziano przeciwko wymienionemu naczyniu; prowadzenie się było poza tym na ogół poprawne. Wymienione naczynie było zatrudnione w zeszłym roku w charakterze kopacza cmentarzy i ma być zatrudnione przy podobnych pracach w sezonie bieżącym.

— Ale ja chcę pracować z Alfem — protestuje Loola.

– Ty zdaje się zapominasz – odzywa się pierwszy ministrant – że tu jest Demokracja...

– Demokracja – dodaje jego kolega – w której każdy proletariusz korzysta z dobrodziejstw całkowitej wolności.

– Prawdziwej wolności.

– Posłuszny woli Proletariatu.

– *A vox proletarius, vox diaboli.*

– Z tym, że oczywiście, *vox diaboli, vox ecclesiae.*

– A my tutaj jesteśmy przedstawicielami Kościoła.

– A więc widzisz.

– Ale ja już mam dość cmentarzy – nalega dziewczyna. – Chciałabym dla odmiany uprawiać ziemię.

Następuje chwila ciszy. Nadzwyczajny Pomocnik Wielkiego Inkwizytora schyla się i wyciąga spod swego krzesła nahajkę z olbrzymiego, poświęcanego byczego chwosta. Kładzie ją na stole przed sobą i zwraca się do swych podwładnych.

– Poprawcie mnie, jeżeli się mylę – odzywa się – lecz mnie się zdaje, że każde naczynie, które odrzuca proletariacką wolność, podlega karze dwudziestu pięciu batów za każdy taki sprzeciw.

Znów zalega cisza. Loola stoi blada. Z rozszerzonymi ze strachu oczyma przygląda się instrumentowi tortury, odwraca wzrok, usiłuje przemówić, ale stwierdza, że nie może w ogóle wydobyć z siebie głosu. Przełyka z trudem ślinę i znowu próbuje coś powiedzieć.

– Nie będę się sprzeciwiać – wykrztusza z siebie – ja naprawdę chcę być wolna.

– Wolna do pracy na cmentarzach?

Kiwa głową potakująco.

– To jest dobre naczynie! – wyrokuje Nadzwyczajny Pomocnik.

Loola odwraca się do doktora Poole'a i przez parę sekund spoglądają sobie w oczy bez słowa.

– Do widzenia, Alfie – szepce wreszcie.

– Do widzenia, Loola.

Mija kilka sekund i Loola ze spuszczonego wzrokiem odchodzi.

— A teraz — mówi Pomocnik Nadzwyczajny do doktora Poole'a — możemy powrócić do sedna sprawy. W normalnych czasach, jak wspomniałem, nie otrzymałby pan więcej niż dwóch pracowników. Czy wyrażam się jasno?

Dr Poole kiwa głową potakująco.

Przenosimy się do laboratorium, w którym niegdyś uczyli się podstaw biologii studenci drugiego roku Uniwersytetu Południowej Kalifornii. Znajdują się tu jak zwykle zlewy i stoły, palniki bunsenowskie i wagi szalkowe, klatki na maszyny i świnki morskie, a także akwaria dla kijanek. Ale wszystko to pokryte jest grubą warstwą kurzu, a na podłodze leżą rozsypane kości z połowy tuzina szkieletów, jeszcze ze śladami zbutwiałych spodni i swetrów, nylonów, staników i innej damskiej odzieży.

Drzwi się otwierają, wchodzi dr Poole, a z nim dyrektor produkcji żywnościowej — starszy, siwobrody mężczyzna w samodziiałowych spodniach, standardowym fartuchu i smokingu, który musiał zapewne należeć do angielskiego kamerdynera któregoś z producentów filmowych w dwudziestym wieku.

— Obawiam się, że jest tu trochę nieporządnie — odzywa się dyrektor tonem przeprosin. — Ale obiecuję, że zajmę się tym, by kości zostały uprzątnięte jeszcze dzisiaj wieczorem, a jutro rano sprzątaczkę odkurzą stoły i umyją podłogi.

— Oczywiście — przytakuje dr Poole — oczywiście.

Odwiedzamy to samo pomieszczenie w tydzień później. Szkielety zostały oczywiście usunięte; podłogi, ściany i sprzęty są już niemal czyste. Doktorowi składają właśnie wizytę trzej dostojni goście. Ubrany w ciemny anglo-nubijski habit Stowarzyszenia Molocha i ozdobiony czterema rogamami Arcybiskup siedzi obok Szefa, który przybył dziś z medalami świeżo właśnie odkopanymi na cmentarzu i w mundurze kontradmirała Floty Stanów Zjednoczonych. W pewnym oddaleniu, z uwagi na należny głowom kościoła i państwa szacunek, siedzi dyrektor produkcji żywności, nadal w przebraniu kamerdynera. Na-

przeciw nich, przybrawszy pozę członka Akademii Francuskiej, przygotowanego do odczytania ostatnich prac wybranym i uprzywilejowanym słuchaczom, siedzi nasz dr Poole.

— Czy mogę zacząć? — zapytuje.

Dostojnicy kościelni i państwowi wymieniają między sobą spojrzenia, po czym zwracają się w stronę doktora Poole'a i potakującym skinieniem głowy wyrażają zgodę. Dr Poole otwiera notes i poprawia okulary. Zaczyna czytać: — Uwagi na temat erozji gleby i patologii roślin w płudniowej Kalifornii, poparte raportem tymczasowym o sytuacji w rolnictwie oraz planem akcji zaradczej na przyszłość — napisane przez Alfreda Poole'a, doktora nauk, zastępcę profesora botaniki na Uniwersytecie w Auckland.

Podczas gdy doktor czyta, na ekranie ukazują się stoki u podnóża Gór Świętego Gabriela. Skalista ziemia w promieniach słońca wygląda jak martwa. Tylko gdzieś tkwi jakiś kaktus. Zbocza wzgórz poorane są gęstą siecią bruzd wyłobionych przez wodę. Niektóre pagórki znajdują się dopiero w stadium początkowej erozji, na innych bruzdy wdarły się bardzo znacznie w głąb gruntu. Na krawędzi jednego z takich żlebów widnieją ruiny solidnego budynku, którego połowa zapadła się już w przepaść. Na równinie u stóp wzgórz nagie, uschnięte drzewa orzechowe sterczą wśród zaschłego, naniesionego przez deszcze mułu.

Równocześnie z pojawieniem się obrazu słyszemy donośny, dźwięczny głos doktora Poole'a:

— W prawdziwej symbiozie obserwujemy jakby stosunek pokrewieństwa, który jest dobrodziejstwem dla obu połączonych organizmów. Z drugiej strony, cechą charakterystyczną pasożytniczego stosunku jest to, że jeden organizm żyje kosztem drugiego. W końcu ów jednostronny stosunek okazuje się fatalny dla obu organizmów, gdyż skutkiem śmierci ofiary jest także śmierć pasożyta. Związki człowieka z planetą, na której panował jeszcze do niedawna, nie miały bynajmniej charakteru symbiozy, ale były stosunkami analogicznymi do tych,

które łączą solitera i udręzonego psa, lub grzybka i niszczonego przez niego ziemniaka.

Obiektyw kamery rejestruje oblicze Szefa. Okolone czarną kędzierzawą brodą usta o bardzo czerwonych wargach ziewnęły potężnie. Dr Poole dalej czyta:

— Ignorując w zupełności tak oczywisty fakt, iż dewastacja źródeł naturalnego bogactwa musi na dalszą metę pociągnąć za sobą ruinę jego cywilizacji, a nawet doprowadzić do unicestwienia własnego gatunku, człowiek czasów nowożytnych kontynuował z pokolenia na pokolenie ową eksploatację ziemi, która...

— Czy nie mógłby pan ująć tego trochę zwięźlej? — pada nagle pytanie Szefa.

Dr Poole przybiera minę człowieka obrazonego, ale dość szybko przypomina sobie, iż jest jeńcem skazanym na pracę, wśród dzikusów, więc zmusza się do grzecznościowego uśmiechu.

— Możliwe, iż byłoby lepiej, gdybyśmy bez dalszych korowodów przeszli od razu do ustępu traktującego o patologii roślin.

— Wszystko mi jedno, o ile tylko będzie to zwięzłe — dorzuca Szef.

— Niecierpliwość jest jednym z ulubionych przez Beliala grzechów — piszczy sentencjonalnie Arcybiskup.

Tymczasem dr Poole przewrócił trzy albo cztery strony i jest już gotów do dalszej prelekcji.

— Przy obecnym stanie gleby zbiór z hektara będzie znacznie niższy od normalnego nawet wtedy, gdy podstawowe spożywane rośliny będą zupełnie zdrowe. Lecz nie są one zdrowe. Po obejrzeniu zbóż na polach, po zbadaniu ziarna, owoców i bulw w inspektach, po skontrolowaniu okazów roślin pod zachowanym i prawie nieuszkodzonym mikroskopem, doszedłem do niezbitego przekonania, że jest tylko jedno wytłumaczenie przyczyn wielkiej mnogości i różnaitości chorób roślinnych szerzących się tak niezwykle na tym obszarze. Jest to mianowicie skutek rozmyślnego zarażania zbiorów bombami rozprzestrzeniającymi grzybek, bakterionośnymi aerozolami oraz rozsiewanymi wirusami różnych gatunków, przenoszonymi

przez liszki i inne owady. Jak inaczej wytłumaczyć dlaczego rozprzestrzenia się *Giberella saubinetti* o szczególnej szkodliwości albo *Puccinia graminis*? Czy też *Phytophthora infestans* i *Synchytrium endobioticum*? I wszystkie zarazy typu mozaikowego wywołanych wirusami, jak na przykład *Bacillus amylovorus*, *Bacillus carotovorus*, *Pseudomonas citri*, *Pseudomonas tumefaciens*, *Bacterium*...

Przerywając wykład Arcybiskup wtrąca:

— I pan będzie jeszcze twierdził, że ci ludzie nie byli opętani przez Beliala! Jest to wprost nie do wiary, jak uprzedzenie może zaślepić nawet najinteligentniejszych, najbardziej wykształconych...

— Tak, tak, my wiemy to wszystko — przerywa ze zniecierpliwieniem Szeff — ale skończmy na razie z tą całą gadaniną i przejdźmy do spraw praktycznych. Co może pan poradzić na to wszystko?

Dr Poole chrząknął.

— Wykonanie zadania będzie wymagało wielkiej cierpliwości i ogromnego wysiłku.

— Ale ja chcę więcej żywności teraz — władcym tonem oświadcza Szeff. — Muszę ją mieć jeszcze w tym roku.

Z pewną obawą dr Poole próbuje tłumaczyć mu, że odmiany odpornych na zarazy roślin nie mogą być wyhodowane i wypróbowane w czasie krótszym niż dziesięć lub dwadzieścia lat. A tymczasem pozostaje kwestia gleby; erozja niszczy pola uprawne, trzeba temu zapobiec za wszelką cenę. Z drugiej jednak strony, budowa ziemnych tarasów, drenowanie i kompostowanie gruntu wymaga ogromnej pracy, która musi być podjęta bezzwłocznie i będzie trwała latami. Nawet dawniej, kiedy było pod dostatkiem rąk do pracy i maszyn, ludzie nie robili tego wszystkiego, co było niezbędne, żeby utrzymać żyzność gleby.

— Nie robili tego, gdyż nie mogli — wtrąca Arcybiskup. — A działało się tak dlatego, że ludzie po prostu lekceważyli tę robotę. W okresie między drugą a trzecią wojną światową mieli dosyć czasu i niezbędne wyposażenie techniczne, ale zajmowali się polityką mocarstwową. A

jakie były tego konsekwencje? — Wyliczał na grubych palcach skutki: wzrastające niedożywienie coraz większej ilości ludzi; narastające polityczne niepokoje, których następstwem był coraz agresywniejszy nacjonalizm i imperializm; w końcu — owa rzecz. A dlaczego postanowili wyniszczyć się wzajemnie? Ponieważ Belial tego chciał, ponieważ opętał...

Szef podnosi rękę do góry. — Przepraszam, przepraszam — protestuje. — To nie jest kurs apologetyki, ani diabolologii naturalnej. Mamy zrobić to, co jest jeszcze możliwe.

— A na nieszczęście wszystko jest czasochłonne — dodaje dr Poole.

— Jak długo potrważą prace?

— No cóż, po jakichś pięciu latach może uda się powstrzymać erozję, więc po dziesięciu powinna nastąpić poprawa. W ciągu dwudziestu lat z części waszych gruntów osiągnie się jakieś 75 procent pierwotnej wydajności. W ciągu pięćdziesięciu lat...

— W ciągu pięćdziesięciu lat — wtrąca Arcybiskup — stopień degradacji będzie dwa razy wyższy niż obecnie. A po stu latach triumf Beliala będzie zupełny. Ale to zupełny! — powtarza z dziecinnych chichotem. Czyni znak rogów i wstaje z krzesła. — Ale tymczasem jestem całkowicie za tym, by ten dżentelmen robił wszystko, co w jego mocy.

Przenosimy się na cmentarz hollywoodzki. Kamera przesuwa się szybko, pokazując z góry pomniki i nagrobki znane nam już z poprzedniej wizyty. Zbliżenie do statuy Heddy Boddy. Najazd kamery na cokół pomnika, na którym widnieje napis: „... powszechnie znana jako ulubienica publiczności numer jeden”.

Równocześnie słyszymy dźwięk, jaki wydaje ostrze wbijanej w ziemię łopaty, a po tym szelest odrzucanego na bok piasku i żwiru.

Odjazd kamery: widzimy Loolę stojącą w głębokim na trzy stopy dole i kopiącą zawzięcie. Podnosi głowę słysząc

zbliżające się kroki. Pojawia się Flossie, tęga dziewczyna znana nam z poprzednich sekwencji.

— Jak tam idzie, w porządku?

Loola przytakuje milcząco skinieniem głowy i wierzchem dłoni wyciera pot z czoła.

— Jak skończysz z tym świństwem, przyjdiesz zameldować się do nas.

— To potrwa jeszcze co najmniej z godzinę — stwierdza z posępną miną Loola.

— Dobra, zostań przy tym, dziecko — szalenie serdecznym tonem gawędzącej przyjaciółki odpowiada Flossie. — Przyłóż się dobrze do roboty. Pokaż im, że naczynie potrafi pracować nie gorzej od mężczyzny! Jeśli robota będzie ci dobrze szła — ciągnie zachęcającym tonem — to może Nadintendent pozwoli ci zatrzymać nylony. Spójrz na tę parę, którą dziś rano dostałam!

Mówiąc to wyciąga z kieszeni wymarzone trofeum. Pończochy są w doskonałym stanie, z wyjątkiem zielonkawych plam wokół dużych palców.

— Och! — wykrzykuje z zazdrością i podziwem Loola.

— Ale nie miałyśmy zupełnie szczęścia do biżuterii — mówi Flossie, chowając z powrotem pończochy. — Załedwie jeden pierścionek zaręczynowy i gówniana mała bransoletka. Ale miejmy nadzieję, że przynajmniej ta tutaj nas nie zawiedzie! — Flossie uśmiecha się i klepie marmurowy brzuch „ulubienicy publiczności numer jeden”.

— No, muszę już wracać. Odkopujemy teraz naczynie, które zostało pochowane pod tym krzyżem z czerwonego kamienia. Wiesz którym, tym dużym niedaleko północnej bramy. Loola przytakuje skinieniem głowy.

— Przyjdę tam, jak tylko z tym skończę — odpowiada.

Gwiżdżąc melodię *Kiedy przyglądam się cudownym rogom*, gruba dziewczyna oddala się szybko. Loola wzdycha i zabiera się do kopania.

Jakiś głos bardzo miękko wymawia jej imię. Loola odwraca się gwałtownie.

Plan amerykański. Widzimy dr Poole'a, jak zbliża się ostrożnie od strony grobowca Rudolfa Valentino.

Znów Loola. Czerwieni się raptownie i niemal natychmiast jej twarz staje się śmiertelnie blada. Przyciska rękę do serca.

— Alfie... — szepce.

Poole podchodzi bliżej, zeskakuje do grobu, tuż obok niej, i bez słowa chwyta ją w ramiona. Pocałunek jest namiętny. Loola skrywa twarz w jego ramionach.

— Już myślałam, że cię nigdy więcej nie zobaczę — mówi urywanym głosem.

— Za kogo mnie masz?

— Całuje ją znowu, po czym odsuwa na odległość ramion i wpatruje się w jej twarz.

— Czemu płaczesz?

— Nie potrafię się powstrzymać.

— Jesteś piękniejsza niż kiedykolwiek.

Niezdolna wymówić żadnego słowa, Loola potrząsa przecząco głową.

— Uśmiechnij się — prosi dr Poole.

— Nie mogę.

— Uśmiechnij się, uśmiechnij się. Chcę je znowu zobaczyć.

— Co zobaczyć?

— Uśmiechnij się!

Loola uśmiecha się z pewnym wysiłkiem, niemniej jednak uśmiech jej jest przesycony głęboką tkliwością. Zatrokana poprzednio twarz wypogadza się, na policzkach znowu pojawiają się dawno nie widziane dołeczki.

— Ooò, są nareszcie — wykrzykuje zachwycony — są nareszcie! — Delikatnie, niczym ślepiec odczytujący książkę pisaną alfabetem Braille'a, przesuwa palec po jej policzku. Loola uśmiecha się już z mniejszym wysiłkiem, dołek powiększa się pod dotknięciem. Poole śmieje się zadowolony.

W tym momencie dobiega gdzieś z boku gwizdana melodia *Kiedy przyglądam się cudownym rogom*. Narasta od *pianissimo* poprzez *piano*, aby osiągnąć niebawem skalę *mezzo forte*.

Strach pojawia się na twarzy Looli.

— Szybko, szybko! — szepce nerwowo.

Dr Poole wyskakuje z grobu z zadziwiającą zwinnością.

Widzimy znowu grubą dziewczynę. Dr Poole ustawia się obok pomnika „ulubienicy publiczności numer jeden”, jakby zatrzymał się przy nim przypadkowo. Głęboko w dole Loola kopie jak szalona.

— Zapomniałam ci powiedzieć, że za pół godziny robimy przerwę na obiad — mówi Flossie. W tym momencie spostrzega doktora Poole’a. Wydaje okrzyk zdziwienia.

— Dzień dobry — odzywa się uprzejmie doktor.

Zalega przez moment cisza. Flossie spogląda na doktora, po tym na Loolę i znów na doktora.

— A co pan tu robi? — pyta podejrzliwie.

— Idę właśnie do St. Azazel — odpowiada. — Arcybiskup dał mi znać, że chce, abym był obecny na jego trzech wykładach dla seminarzystów. Tematem tych prelekcji jest „Belial w historii”.

— Wybrał pan sobie do St. Azazel bardzo dziwną drogę.

— Szukałem Szefa — tłumaczy dr Poole.

— No cóż, tu go nie ma — odpowiada gruba dziewczyna.

Znowu nastaje cisza.

— Wobec tego — konkluduje dr Poole ze sztuczną i zupełnie nieprzekonywującą galanterią — ruszam dalej. Nie mogę przeszkadzać paniom w ich obowiązkach. Do widzenia, do widzenia.

Składa elegancki ukłon obu dziewczynom i oddala się z lekką nonszalancją.

Flossie patrzy na niego milcząco, po czym zwraca się ostro do Looli: — Słuchaj, ty...

Loola przestaje kopać i podnosi głowę.

— O co chodzi, Flossie? — pyta naiwną niewinnością.

— O co chodzi? — powtarza sarkastycznie Flossie. — Powiedz mi, co napisano na twoim fartuchu?

Loola patrzy na swój fartuch i na Flossie. Jej twarz czerwienieje z zażenowania.

– Co tam jest napisane? – nalega Flossie.

– „NIE!”

– A co jest napisane na tych naszywkach?

– „NIE!” – powtarza Loola.

– A na tamtych z tyłu jak się odwrócisz?

– „NIE!”

– Nie, nie, nie, nie, nie – powtarza z naciskiem gruba dziewczyna. – A kiedy prawo mówi NIE, to znaczy NIE! Ty to wiesz równie dobrze jak i ja, prawda?

Loola pochyla głowę w milczeniu.

– Powiedz, że wiesz o tym. No, powiedz – nalega Flossie.

– Tak, wiem o tym – bąka wreszcie Loola ledwie słyszalnym głosem.

– Dobra. Tylko teraz nie mów, że nie zostałam ostrzeżona. A jeśli ten obcy „gorący” zacznie się znów kręcić koło ciebie, daj mi tylko znać. Już ja z nim porozmawiam.

Przenosimy się do wnętrza kościoła Świętego Azazela. Dawniejszy kościół Matki Boskiej Guadalupeńskiej został zaledwie powierzchownie przeobrażony. Znajdujące się w kaplicach gipsowe figury św. Józefa, św. Magdaleny, św. Antoniego Padewskiego i św. Róży z Limy zostały tylko pomalowane na kolor czerwony i ozdobione rogami. Na głównym ołtarzu nic się nie zmieniło z wyjątkiem tego, iż krucyfiks został zastąpiony parą ogromnych, wyrzeźbionych w cedrowym drzewie rogów, obwieszonych mnóstwem pierścieni, ręcznych zegarków, bransolet, łańcuszków, kolczyków oraz naszyjników wykopanych na cmentarzach lub znalezionych razem ze starymi kośćmi i zbutwiałyymi szczątkami kaset jubilerskich.

W głównej nawie kościoła, z pochylonymi głowami siedzi około pięćdziesięciu ubranych w skóry seminarzystów. Między nimi, pośrodku pierwszego rzędu znajduje się dr Poole, wyraźnie nie pasujący do otoczenia: z nieogoloną brodą, odziany w sportową, tweedową marynar-

kę. Arcykapłan stoi na kazalnicy i wygłasza ostatnie słowa swego odczytu:

— Albowiem, jak zgodnie z Porządkiem Wszechrzeczy wszyscy mogliby, gdyby tego zechcieli, żyć, tak również za sprawą Beliala wszyscy zostali lub nieuchronnie zostaną, skazani na śmierć. Amen.

Następuje długa chwila ciszy, po której przełożony nowicjuszy wstaje z miejsca. Szeleszcząc skórzanymi sutannami seminarzyści formują za nim szereg i dwójkami, w ustalonym porządku, posuwają się do drzwi wyjściowych.

Dr Poole miał się już do nich dołączyć, gdy nagle usłyszał wysoki, dziecinny głos przywołujący go po nazwisku.

Odwraca się i widzi, że stojący na schodkach ambony Arcykapłan przyzywa go do siebie ruchem ręki.

— No i cóż, co pan sądzi o wykładzie? — pyta piskliwym głosem.

— Był znakomity.

— Bez pochlebstwa?

— Naprawdę i szczerze.

Arcykapłan uśmiecha się zadowolony.

— Przyjemnie mi to słyszeć — dodaje.

— Szczególnie podobało mi się to, co pan mówił o religii w XIX i XX stuleciu, o odwróceniu od Jeremiasza do Księgi Sędziów, o przejściu od pierwiastka osobowego — uniwersalnego, do nacjonalistycznego — samounicestwiającego się.

Arcykapłan przytakuje kiwając głową.

— Tak, tak, ledwie uniknęło się niebezpieczeństwa. Gdyby trzymali się tego co osobowe i uniwersalne, pozostałoby w pełnej zgodzie z Porządkiem Wszechrzeczy. Wtedy Władca Much musiałby ulec. Ale na szczęście Belial miał mnóstwo sprzymierzeńców: narody, kościoły, partie polityczne. Wykorzystywał ich niechęci i zrobił użytek z ich ideologii. W tym czasie, kiedy udoskonalili bombę atomową, byli już ludźmi, których intelekt nie różnił się od tego, jaki posiadali w roku 900 przed Chrystusem.

— A poza tym — wtrąca dr Poole — podobało mi się to, co pan powiedział o kontaktach między Wschodem a Zachodem, jak pan mówił, że On wpłynął skutecznie na każdą stronę, by brała od drugiej to, co u tamtej było najgorsze. Tak więc Wschód przyswoił sobie zachodni nacjonalizm, zachodnie uzbrojenie, zachodnie filmy i zachodni marksizm; Zachód zaś przejął wschodni despotyzm, wschodnie przesady i wschodnią obojętność wobec jednostki. Jednym słowem, On postarał się o to, aby ludzkość przyswoiła sobie najgorsze zjawiska obu tych światów.

— Niech pan tylko pomyśli, co by było, gdyby wybrali te najlepsze! — wykrzykuje piskliwym głosem Arcykapłan. — Wschodni mistycyzm, który może dać pewność, że zachodnia wiedza zostanie zużytkowana we właściwy sposób; wschodnią sztukę życia uszlachetniającą zachodnią energię; zachodni indywidualizm temperujący wschodni totalitaryzm. No cóż, byłoby to prawdziwe królestwo niebieskie. Na szczęście, łaska Beliala okazała się mocniejsza niż łaska tego Innego.

Arcykapłan chichocze piskliwie, kładzie rękę na ramieniu doktora, wspólnie idą w stronę zakrystii.

— Wie pan, Poole — mówi — ja pana bardzo polubiłem.

Dr Poole mamrocze coś w zażenowaniu.

— Jest pan inteligentny, jest pan starannie wykształcony, zna się pan na różnych rzeczach, o których myśmy się nigdy nie uczyli. Mógłby pan być mi bardzo pomocny, a ja ze swej strony, mógłbym być bardzo pomocny panu, to znaczy — dodaje — jeśli by pan został jednym z nas.

— Jednym z was? — powtarza ze zdziwieniem dr Poole.

— Tak, jednym z nas.

Zbliżenie na pełną ekspresji twarz doktora, który dopiero teraz przestraszył się, że taka ewentualność jest brana pod uwagę i aż jęknął z trwogi.

— Nie będę przed panem ukrywał, że chirurgiczny zabieg, jakiego trzeba by dokonać, nie jest całkiem bez-

bolesny, ale absolutnie bezpieczny, a korzyści związane ze wstąpieniem do stanu kapłańskiego są tak wielkie, że wynagradzają w zupełności owe drobne ryzyko i chwilową nieprzyjemność. Nie powinniśmy również zapominać, że...

— Ależ, Wasza Eminencjo... — protestuje dr Poole.

Arcykapłan unosi do góry ciężką, wilgotną dłoń.

— Chwileczkę, proszę — mówi karcącym tonem. Wyraz jego twarzy jest tak surowy, że dr Poole śpieszy z przeprosinami.

— Proszę wybaczyć.

— Wybaczam, drogi Poole, wybaczam. — Arcykapłan ponownie staje się wcieleniem uprzejmości i wyrozumiałości.

— Tak więc, jak mówiłem — ciągnie dalej — nie powinniśmy zapominać, że jeśli poddałby się pan temu, co mógłbym nazwać fizjologicznym nawróceniem się, zostałby pan uwolniony od wszelkich pokus, na które jako normalny mężczyzna byłby pan nieuchronnie narażony.

— Oczywiście, oczywiście — przytakuje dr Poole. — Ale ja mogę pana zapewnić...

— Jeśli idzie o pokusy — oświadcza sentencjonalnym tonem Arcykapłan — nikt nie może nikogo o niczym zapewniać.

Dr Poole przypomina sobie ostatnią rozmowę z Loolą na cmentarzu i czuje, że się rumieni.

— Czy nie jest to jednak zbyt surowe stanowisko — pyta, bez większego przekonania, dr Poole.

Arcykapłan kręci głową przecząco.

— W tych sprawach nigdy nie można być zbyt surowym. A niech pan pozwoli, że przypomnę o tym, co się dzieje z tymi, którzy ulegną takim pokusom. Bycze chwo sty i ekipy grabarzy są stale w pogotowiu. Oto jest powód dlaczego ja, w pana własnym zresztą interesie, dla pańskiego przyszłego szczęścia i spokoju umysłu doradzam panu; mało, ja pana proszę i zaklinam, żeby pan wstąpił do naszego zakonu.

Zalega cisza. Dr Poole z trudem przełyka ślinę.

— Chciałbym to sobie przemyśleć — odzywa się wreszcie.

– Oczywiście, oczywiście – zgadza się Arcybiskup.
– Proszę się zastanowić. Choćby tydzień.

– Tydzień? Ja nie sądzę, abym mógł podjąć decyzję w ciągu tygodnia.

– Niech będą dwa tygodnie – mówi Arcybiskup, a gdy dr Poole nadal protestuje, dodaje – niech będą cztery, niech będzie sześć, jak pan chce. Mnie się nie śpieszy. Mnie chodzi tylko o pana. – Poklepuje doktora po plecach. – Tak, mój drogi przyjacielu, tylko o p a n a.

Na ekranie widzimy doktora Poole'a przy pracy. Flancuje pomidory w swoim doświadczalnym ogrodzie. Minęło prawie sześć tygodni. Jego ciemna broda jest już znacznie bujniejsza, a tweedowa kurtka i flanelowe spodnie znacznie brudniejsze niż wtedy, kiedyśmy go ostatni raz widzieli. Ma na sobie szarą samodzielną koszulę, na nogach zaś lokalnego wyrobu trepy.

Po wetknięciu w ziemię ostatniej flancy prostuje się, wypręża ramiona, gimnastykuje obolałe plecy, po czym zaczyna wolno iść przez ogród. Na jego skraju zatrzymuje się, stoi bez ruchu i patrzy, przed siebie.

Wolne ujęcie panoramiczne. Szeroki plan. Widzimy spustoszone fabryki, ruiny domów, zaś w tle łańcuch górski ciągnący się ku wschodowi. Cienie kładą się głębokimi plamami barwy indygo, a w złotym, ciepłym świetle odległe kontury rysują się wyraźnie i plastycznie, niczym obrazy odbite w wypukłym zwierciadle. Na pierwszym planie, rozjaśniona delikatnie smugami ukośnych, niemal zupełnie poziomych promieni, widnieje połać wyprażonej ziemi; nawet najlichsze, łyse jej pagórki zdradzają teraz, w blasku słońca ukrytą i nie przeczuwaną, bujną żyzność gleby.

NARRATOR

Bywają takie chwile, a ta jest jedną z nich, gdy świat wydaje się cudownie piękny; jak gdyby jakiś rozum tkwiący w każdej rzeczy rozbudził się raptownie, by móc ukazać wszystkim tym, co widzieć chcą, ową nadnatural-

ną rzeczywistość, ową istotę nadzmysłową, która spoczywa u źródła wszystkich zjawisk.

Wargi doktora Poole'a poruszają się delikatnie, a do nas dobiega w tej samej chwili cichy szept wypowiedzianych przezeń słów:

*Dla miłości, piękna i rozkoszy
Nie istnieje ni śmierć, ni zmiana;
Potęga ich poza nasze zmysły sięga,
Które światła nie znoszą żadnego
W ciemności same trwając głębokiej.*

Po chwili dr Poole odwraca się i zmierza z powrotem ku wejściu do ogrodu. Przed otwarciem furtki rozgląda się ostrożnie dookoła siebie. Nie widać nikogo, ani śladu człowieka. Uspokojony tym wymyka się na zewnątrz i niemal natychmiast skręca w wąską ścieżkę, wijącą się między piaszczystymi wydrami. Jego usta poruszają się znów:

*Jam jest Ziemia, twa matka,
W której kamiennych żyłach
Radość, przenikająca aż do ostatniego poruszenia
Drzewa najsmuklejszego, którego listki wiotkie
Drżą pod tchnieniem mroźnej aury,
Niczym krew, która przez żywe ciało płynie
Gdy z łona jej wynurzasz się jako chwały obłok,
Obudź się — powstań. O duchu radości gorejącej.*

Ze ścieżki dr Poole wchodzi na ulicę, wzdłuż której ciągną się szeregi małych domków. Przy każdym z nich jest garaż, a wokół trochę jałowego gruntu, który niegdyś był trawnikiem z klombem kwiatów.

„O, duchu radości gorejącej” — mówi do siebie, po czym wzdycha i smutnie kiwa głową.

NARRATOR

Radość? Ależ radość już dawno została zamordowana. Chichot demonów skaczących wokół miejsca kaźni i

skowyt opętanych istot, parzących się w ciemnościach jest tym, co przetrwało. Radość jest tylko dla tych, których życie przebiega w zgodzie z Porządkiem Wszechrzeczy. Dla was tam, dla owych mądrych co myślą, iż potrafią Porządek ów poprawić, dla owych gniewnych, buntowniczych, nieposłusznych radość wkrótce staje się czymś obcym. Ci zaś, którzy skazani są ponosić konsekwencje waszych fantastycznych, oszukańczych sztuczek, nie będą nigdy nawet podejrzewać jej istnienia. Miłość, Radość oraz Pokój — oto są owoce ducha, który jest waszą, a także i świata treścią istotną. Natomiast tym, co rodzi się z zarozumiałstwa małpich mózgów i ich rewolty jest nienawiść i wieczny, dręczący niepokój, i stan chronicznej nędzy, hamowanej tylko przez szaleństwa jeszcze bardziej przeraźliwe.

Tymczasem dr Poole kontynuuje swą wędrówkę.

„Świat pełen jest drwali” — mówi do siebie.

Świat pełen jest drwali co płoszą

Wśród gąszczy drzew życia

Ulotne driady miłości

I straszą słowiki na polanach.

NARRATOR

Drwale z siekierami, driadobójcy z nożami, dręczyciele słowików ze skalpelami i nożyczkami chirurgicznymi.

Dr Poole wzdryga się i przyśpiesza kroku niczym człowiek, który czuje za sobą obecność czegoś niedobrego, co depcze mu po piętach. W pewnej chwili zatrzymuje się i jeszcze raz rozgląda się dookoła siebie.

NARRATOR

W mieście dwóch i pół miliona szkieletów obecność kilku tysięcy żywych ludzi jest ledwie dostrzegalna. Nic się nie porusza. Panuje kompletna cisza. Pośród tych ele-

ganckich, burżuazyjnych ruin odnosi się wrażenie, jak gdyby była ona wynikiem jakiejś zмовy.

Dr Poole zbacza z drogi i skręca w pośpiechu w alejkę prowadzącą do garażu nr 1993. Jego serce bije teraz szybciej, zarówno z powodu nadziei jak i obawy przed rozczarowaniem. Zawieszona na zardzewiałych zawiasach podwójne drzwi są lekko uchylone. Wślizguje się do środka, gdzie panuje półmrok i czuć stęchliznę. Wąski promień popołudniowego słońca sączy się przez otwór w ścianie garażu, pada na przednie lewe koło czterodrzwiowego Chevroleta model Sedan Super de Luxe oraz na leżące obok niego na ziemi dwie czaszki; jedną dorosłego człowieka, drugą najwyraźniej dziecięcą. Dr Poole otwiera jedyne spośród czterech drzwiczek, które dają się odeknąć i zagląda do ciemnego wnętrza.

– Loola!

Wsuwa się do środka wozu, siada przy niej na rozpadającym się obiciu tylnego siedzenia i chwytając jej rękę w swe obie dłonie.

– Kochanie!

Spogląda na niego w milczeniu, a w jej oczach maluje się niemal przerażenie.

– Więc jednak udało ci się wydostać?

– Tak, ale Flossie coś podejrzuje.

– Do diabła z Flossie! – wykrzykuje Poole tonem umyślnie beztroskim i uspokajającym.

– Ona nadal zadaje pytania – ciągnie Loola. – Powiedziała mi, że wychodzę do kuźni po igły i noże.

– A tymczasem znalazłaś mnie. – Uśmiecha się do niej czule i podnosi jej dłoń do swych ust, lecz Loola wzbrania się.

– Alfie, proszę cię! – szepce błagalnym tonem. Poole puszcza jej dłoń, rezygnując z pocałunku.

– Ale ty mnie nadal kochasz, prawda?

Loola spogląda na niego zmieszana, oczami rozszerzonymi lękiem i odwraca głowę.

– Nie wiem, Alfie, ja nie wiem.

– Ale ja wiem – mówi zdecydowanym tonem dr

Poole. — Ja wiem, że cię kocham. Ja wiem, że chcę być z tobą. Zawsze. Aż do śmierci, która nas rozdzieli — dodaje z gorliwym zapalem seksualnego subiektywisty, który raptem stał się obiektywnym monogamistą.

Loola nadal potrząsa przecząco głową.

— Wiem tylko jedno, że nie powinnam tu być.

— Ależ to nonsens!

— Nie, to nie nonsens. Ja nie powinnam być tutaj teraz. I nie powinnam była przychodzić wtedy. To jest sprzeczne z Prawem. To jest przeciw temu, co inni myślą. I jest to przeciw Niemu — dodaje po chwili. Wyraz udręki i rozpaczony pojawia się na jej twarzy. Ale wobec tego dlaczego on uczynił mnie tą, która może mieć takie uczucia do ciebie? Dlaczego On uczynił mnie taką, jak tych... jak tych? — Loola nie potrafi zdobyć się na wymówienie słowa wzbudzającego odrazę.

— Miałam sposobność poznać jednego z nich — ciągnie dalej niskim głosem. — Był miły, prawie tak miły jak ty. A potem oni go zabili.

— Co za sens rozmyślać o innych? — przerywa dr Poole. — Myślmy lepiej o sobie. Pomyślmy o tym, jacy mogliśmy być szczęśliwi razem, jacy szczęśliwi byliśmy dwa miesiące temu. Czy pamiętasz? Światło księżyca... i jak mroczno było wśród cieni! „A w duszy zapach dziki, zmysłami nie wyczuty...!”

— Ale myśmy wtedy nie robili niczego złego.

— I teraz nie robimy niczego złego.

— Nie, nie teraz jest zupełnie inaczej.

— Nie jest inaczej — upiera się doktor. — Nie czuję się wcale inaczej niż wtedy. I ty też nie.

— Ja tak — protestuje Loola.

— Nie, ty też nie. Przecież sama powiedziałaś, że nie jesteś taka jak ci inni, chwala Bogu!

— Alfie!

Loola czyni znak rogów, znak prześlągnięcia.

— Oni zostali przemienieni w zwierzęta — ciągnie dalej dr Poole — ty nie. Ty jesteś nadal istotą ludzką, normalną ludzką istotą, przeżywającą normalne, ludzkie uczucia.

– Nieprawda.

– Ależ tak.

– To nieprawda – upiera się płaczliwym głosem Loola – to jest nieprawda. – Zakrywa twarz dłońmi i zaczyna płakać.

– On mnie zabije – szlocha.

– Kto cię zabije?

Loola unosi głowę i spogląda ze strachem ze siebie przez tylne okno samochodu.

– On. On wie wszystko o nas, wszystko co robimy, a nawet wszystko o czym myślimy lub co czujemy.

– Być może – odpowiada dr Poole, którego liberalno-protestanckie poglądy na temat szatana uległy znacznej modyfikacji w ciągu minionych paru tygodni. – Ale jeśli my czujemy, myślimy i robimy właściwe rzeczy. On nie jest w stanie nam zaszkodzić.

– Ale co to jest właściwa rzecz? – pyta Loola.

Przez chwilę dr Poole uśmiecha się bez słowa.

– A więc – odzywa się wreszcie – właściwa rzecz to jest to! – obejmuje ją ramieniem i przyciąga do siebie.

– Nie, Alfie, nie!

Ogarnięta paniką, próbuje się uwolnić, lecz on trzyma ją w mocnym uścisku.

– To jest ta właściwa rzecz – powtarza. – To nie musi być zawsze i wszędzie właściwą rzeczą, ale tutaj i w tej chwili to jest właśnie owa słuszna rzecz, z całą pewnością.

Mówi to z autorytetem i absolutnie przekonany. Nigdy w ciągu całego swego pełnego wahań życia nie myślał tak jasno i nie działał z taką stanowczością.

Loola nagle przestaje walczyć.

– Alfie, czy jesteś pewien, że to jest w porządku? Czy jesteś absolutnie pewien?

– Absolutnie pewien – odpowiada na nowo głęboko przekonany, bardzo delikatnie głaszcząc jej włosy.

– „Ów kształt śmiertelny” – szepce – „pełen miłości i życia, i światła i boskości. Metafora wiosny i młodości i poranka, wizja niczym kwiecień ucieleśniony”.

– Mów dalej – szepce Loola. Jej powieki są przym-

knięte, a twarz tak nadnaturalnie pogodna, jak to się czasami widzi na obliczach zmarłych. Dr Poole zaczyna recytować:

*I będziemy rozmawiać, dopóki melodia myśli
Nie stanie się zbyt słodka, by dać się wypowiedzieć,
i zamrze w słowach, by ożyć znów w spojrzeniach
Radością drżących, i wniknie w serca
Pełna harmonii cisza bez dźwięku.
Nasz oddech się zmiesza, połączą nasze piersi
I żyły pulsować będą razem, a nasze wargi
Inną wymową niż słowa zaćmią duszę
Która płonie między nimi, a źródła bijące wewnątrz
Naszych ciał, owe fontanny naszego życia
najgłębszego
Ulegną zamieszanu w przeczystej namiętności;
Gdy szczyty gór brzask świtu zarysuje
Staniemy się jednością, będziemy jednym duchem
Ujętym w ramy dwie; och! lecz w dwie po cóż?*

Następuje długa cisza. Wreszcie Loola otwiera oczy, przygląda mu się uważnie przez chwilę, a potem zarzuca ramiona wokół jego szyi i całuje go namiętnie w usta. Ale właśnie w momencie, gdy doktor przyciska ją mocniej do siebie, Loola wyrywa się i odsuwa na swoje miejsce.

Dr Poole próbuje się przysunąć, lecz ona trzyma go na odległość ramienia.

— To nie może być w porządku — mówi.

— Ależ to jest w porządku.

Ona potrząsa głową przecząco.

— To jest zbyt dobre, by mogło być słuszne. Byłabym zbyt szczęśliwa, gdyby tak było. On nie chce, byśmy byli szczęśliwi.

Po chwili przerwy pyta.

— Dlaczego powiedziałaś, że On nie może nam nic zrobić?

— Ponieważ jest coś silniejszego niż On.

— Coś silniejszego? Przecież On zawsze z tym walczył i zwyciężył.

— Tylko dlatego, że ludzie pomogli Mu zwyciężyć.

Ale wcale nie musieli Mu pomagać. I zapamiętaj, On nigdy nie może zwyciężyć na stałe.

— Czemu nie?

— Ponieważ On nie potrafi oprzeć się pokusie doprowadzenia zła do ostateczności, a kiedy zło zostaje doprowadzone do ostateczności, niszczy nieuchronnie wszystko i także siebie, a wtedy Porządek Wszechrzeczy ponownie pojawi się na świecie.

— Ale to jest sprawa dalekiej przyszłości.

— Dla całego świata tak, ale nie dla jednostek, nie dla ciebie i nie dla mnie na przykład. Cokolwiek Belial mógłby uczynić z resztą świata, ty i ja możemy zawsze postępować zgodnie z porządkiem wszechrzeczy, a nie wbrew niemu.

Następuje chwila ciszy.

— Nie sądzę, abym rozumiała to, co mówisz — odzywa się Loola w końcu. — I nie dbam o to — dodaje. Przysuwa się do niego z powrotem i opiera głowę o jego ramię. — Nie dbam o nic. On może mnie zabić, jeśli chce. To nie ma znaczenia. Nie teraz.

Zbliża swą twarz do jego twarzy i w momencie, gdy on pochyla się, by ją pocałować, obraz na ekranie ginie w mroku bezksiężycowej nocy.

NARRATOR

L'ombre était nuptiale, auguste et solennelle. Lecz tym razem jest to zaślubinowa ciemność, której uroczystego charakteru nie psują żadne kocie wrzaski, żaden *Liebestods* czy saksofonowe zawrodożenia o odprężeniu. Muzyka, jaką jest przesycona ta noc, jest przejrzysta, lecz nieopisowa; precyzyjna i wyraźna, ale której realność nie daje się ująć w słowa: jest jak wszechogarniająca płynność, lecz pozbawiona lepkiej kleistości i skłonności do natrętnego przywierania (jak krew lub sperma, jak melasa lub ekskrementy) do wszystkiego, z czym się styka lub co obejmuje. Muzyka z ducha Mozarta, delikatnie radosna, mimo że z pogranicza tragedii; muzyka pokrewna twórczości Webera, arystokratyczna i wyrafinowana, a mimo

to zdolna wyrazić najbardziej beztroską wesołość i najgłębszą udrękę konającego świata. Czy nie nawiązuje do tego, co słyhać w *Ave Verum Corpus* i w *Kwintecie G-minor*, wykraczając już poza świat Don Giovanniego? Czyż nie ma w niej śladu tego, co jak u Bacha czasem, a szczególnie u Beethovena w owej ostatecznej pełni sztuki, która staje się tożsama ze świętością, pozostaje już poza romantyczną integracją pierwiastków tragicznych i radosnych, ludzkich i demonicznych? A kiedy w ciemności głos kochanka szepce znów o:

kształcie śmiertelnym pełnym miłości i życia, światła i boskości

czyż nie jest to początkiem zrozumienia, że oprócz *Epipsychidiona* jest również *Adonais*, a ponad tym istnieje nieobleczona w słowa doktryna Czystego Serca?

Laboratorium doktora Poole'a. Wpadające do środka przez wysokie okna światło słoneczne, lśniąc odbija się od nieskazitelnie czystej stali stojącego na stole mikroskopu. Pokój jest pusty. Panująca w nim cisza zostaje nagle zakłócona odgłosem zbliżających się kroków; drzwi się otwierają i do środka zagląda dyrektor produkcji żywnościowej, nadal w stroju lokaja.

— Poole — odzywa się — Jego Eminencja przybył, aby...

Urywa w pół zdania, a na jego twarzy pojawia się wyraz zdumienia.

— Jego tu nie ma — zwraca się do Arcybiskupa, który wchodzi za nim do pokoju.

Dostojnik odwraca się do dwóch towarzyszących mu zaufanych sług. — Idźcie i zobaczcie, czy nie ma doktora Poole'a w ogrodzie doświadczalnym.

Zaufańcy kłaniają się nisko, skrzecząc unisono: — Tak jest, Wasza Eminencjo! — i wybiegają na poszukiwania.

Arcykapłan siada na krześle i łaskawie wskazuje dyrektorowi aprowizacji, by uczynił to samo.

— Nie wiem, czy panu mówiłem, że usiłuję namówić naszego przyjaciela, by przyjął naszą religię.

— Mam nadzieję, że Wasza Eminencja nie myśli pozabawić nas jego bezcennej pomocy przy produkcji żywności — pyta z niepokojem dyrektor.

Arcykapłan uspokaja go.

— Dopilnuję tego, aby znalazł on zawsze czas na udzielanie panu porad, gdy tylko będzie pan ich potrzebował. A tymczasem chcę się upewnić, że Kościół wyciągnie korzyści z jego talentów i...

Śludzy zjawiają się z powrotem i schylają się w pokłonie.

— No i co?

— Nie ma go w ogrodzie, Wasza Eminencjo.

Arcykapłan marszczy gniewnie brwi i rzuca dyrektorowi spojrzenie wprawiające go w stan mocnego zakłopotania.

— Czy wydaje mi się, czy też to pan mówił, iż jest to dzień w którym pracuje on w laboratorium?

— Tak jest, Wasza Eminencjo.

— Dlaczegoż więc jest nieobecny?

— Nie mogę tego pojąć, Wasza Eminencjo. Nie zdarzało się nigdy, by zmieniał rozkład zajęć bez porozumienia się ze mną.

Zalega cisza.

— Nie podoba mi się to — odzywa się w końcu kapłan. — Zupełnie mi się to nie podoba. — Odwraca się do swoich pomocników i mówi: — Biegnijcie z powrotem do kwatery głównej i wyślijcie natychmiast pół tuzina konnych, aby go znaleźli!

Pomocnicy chyłą się w pokłonie, wydają równoczesny piskliwy okrzyk i znikają.

— A co się pana tyczy — zwraca się Arcykapłan do pobladłego i zgnębnionego dyrektora aprowizacji — jeżeli coś się stało, pan będzie za to odpowiadał.

Z gniewną miną unosi się z miejsca i majestatycznym krokiem idzie do drzwi.

Obraz zmienia się. Na ekranie pojawia się seria już zmontowanych ujęć.

Loola ze swym skórzanym plecakiem i dr Poole z przedwojennym wojskowym workiem na ramieniu wspinają się po osypisku ziemi, blokującym jedną z tych wspaniale skonstruowanych autostrad, której resztki nadal znaczą bliznami pobocza gór św. Gabriela.

Przenosimy się na omiatany wiatrem szczyt wzgórza. Dwoje uciekinierów spogląda w dół, na bezkresny obszar pustyni Mojave.

Teraz znajdujemy się w sosnowym lesie na północnym stoku gór. Jest noc. Widzimy pomiędzy drzewami w smudze księżycowego światła dr Poole'a i Loolę. Leżą pod jednym kocem domowej roboty. Śpią.

Obraz przenosi nas do skalistego kanionu, na którego dnie płynie strumień. Kochankowie gaszą pragnienie i napełniają butelki wodą.

A teraz jesteśmy u podnóża wzgórz, ponad płaszczyzną pustyni. Pomiędzy kępami bylic, krzewami juki i krzakami jałowca marsz jest mniej uciążliwy. Dr Poole i Loola na zbliżeniu. Kamera towarzyszy im, gdy energicznie schodzą ze stoku.

— Jak stopy? Czy bardzo cię bołą? — pyta z troską w głosie Poole.

— Nie jest najgorzej — potrząsa przecząco głową i uśmiecha się dzielnie Loola.

— Myślę, że powinniśmy wkrótce zrobić przerwę i coś zjeść.

— Dobrze. Jak uważasz, Alfie.

Wyciąga z kieszeni starą mapę i studiuje ją w trakcie marszu.

— Jesteśmy nadal jakieś dobre trzydzieści mil od Lancaster. Osiem godzin marszu. Musimy oszczędzać siły.

— A jak daleko będziemy jutro? — pyta Loola.

— Trochę za Mojave. A potem, jak myślę, zabierze nam co najmniej dwa dni przeprawa przez rzekę Tehachapis i dotarcie do Bakersfield. — Chowa mapę z powrotem do kieszeni. — Postarałem się wyciągnąć sporo in-

formacji od dyrektora. Powiedział, że ci ludzie na północy są bardzo życzliwi dla uciekinierów z południowej Kalifornii. Nie wydają ich nawet wówczas, gdy władze oficjalnie ich o to proszą.

— Dzięki Bel... to znaczy, chciałam powiedzieć, dzięki Bogu — wrywa się z ust Looli.

Znów zapada cisza. Nagle Loola zatrzymuje się.

— Spójrz! Co to jest?

Najazd kamery. Loola wskazuje coś palcem. Spostrzegamy u stóp bardzo wysokiego drzewa Jozuego płytę ze zwiertzałego betonu. Drzewo stoi pochylone u szczytu starego grobu, który jest porośnięty kępami trawy i gryką.

— Ktoś tu został pochowany — mówi dr Poole.

Podchodzę, a my na zbliżeniu widzimy, jak dr Poole głośno odczytuje następującą inskrypcję:

WILLIAM TALLIS
1882 — 1948

*Czemu ociąga się, czemu cofa, czemu kurczy
moje serce?*

*Twoje nadzieje rozwiały się już dawno, a ze wszystkich
Tutaj rzeczy, które zdążyły już odejść,
Pora teraz odejść tobie!*

Z powrotem obraz obojga kochanków.

— On musiał być bardzo smutnym człowiekiem — odzywa się Loola.

— Być może niezupełnie tak smutnym, jak sądzisz — odpowiada dr Poole, zsuwając z ramienia ciężki toból i siadając obok grobu. Gdy Loola otwiera swój plecak i wyjmuje chleb, owoce, jajka oraz skrawki suszonego mięsa, on przewraca stronicę swojego Shelleya *duodecimo*.

— O mamy to — odzywa się wreszcie. — Oto właśnie zaraz następna strofa po tej, która została tutaj zacytowana:

*To światło, uśmiech, który rozjaśnia wszechświat.
To piękno, w którym wszystko porusza się i działa,*

*To błogosławieństwo, którego nie może unicestwić
Zaćmiewająca Kłątwa urodzenia, owa krzepiąca
Milość*

*Co poprzez pajęczynę ślepo tkaną
Przez człowieka i bestię, ziemię, powietrze i morze
Goreje jasno i przyćmiona, jako że różne są
zwierciadła*

*Ognia, którego łakną wszyscy, promieniuje teraz
na mnie,*

Rozwiewając ostatnie chmury lodowatej śmiertelności.

Nastaje cisza. Loola podaje mu gotowane na twardo jajko. On rozbija je o krawędź kamienia i obiera starannie, a białe odłamki skorupki spadają na płytę grobu.